





Tadeusz Borowski
Pożegnanie z Marią
Kamienny świat

Wydawnictwo
Książki i Malarstwo
Warszawa

Biblioteka Literatury XXX-lecia



Tadeusz Borowski
Pożegnanie z Marią
Kamienny świat

Państwowy Instytut Wydawniczy 1972 r.

Ilustracja
Janusz Stanny
Układ typograficzny
Jan Bokiewicz

K. 28 / 73



65341 - 65344

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.

Wydanie pierwsze w tej edycji

Nakład 50290. Ark. wyd. 9,3; ark. druk. 12,25

Papier druk. mat. kl. III, 65 g. 92×114

Oddano do składania 2 VI 1972 r.

Podpisano do druku w listopadzie 1972 r.

Druk ukończono w listopadzie 1972 r.

Drukarnia Narodowa w Krakowie

Składy wykonały

Poznańskie Zakłady Graficzne

im. M. Kasprzaka w Poznaniu

Zam. druk. 477/72. O-19-968

zł 12.—

Pożegnanie z Marią

Opowiadania

Pożegnanie z Marią

I

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg — okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna okryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy, na wprost furtki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłęбами przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wicherze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z nie dojedzoną sałatą, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się na granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkieł i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze — nabiegło struną w jej

dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokoik napełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmałał jak muszla.

— Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem — szepnęła Maria. — Cień jak przyływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękaniom ukrytym w ich kącikach.

— Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem — powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. — Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniuszek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk leżący na dnie jej oczu zmatowiał i zgasł.

— Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. — Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony obcisły sweter nabrał purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. — Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

— Nie wiem, Mario — rzekłem wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. — Sądzę, iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzianem rzeczy.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziała mrużąc oczy Maria.

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, przedzielonej skwerem ulicy jeździły ze zgrzytem tramwaje. Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom, ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku, puszczone znowu patefon.

Zdławiona, jakby grana na grzebieniu melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych.

— Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat — roześmiałem się i wstałem z kozetki. — To, widzisz, jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy — powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią a majolikowymi kaflami i workiem z kartoflami zakupionymi w jesieni na zimę — wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwiejąc się w takt melodii wszedł Tomasz, oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiał się nad nim rozrosłym, pękatym, masywnym jak u wołu łbem.

— Źle się starasz, bo wódki nie ma — rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrzył w nią tępym wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że to zawodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami, Noakowskimi i Pankiewiczami. Poza tym był redaktorem syndykalistycznego dwutygodnika i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie wtoczyły się taneczne pary, pokręciły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i zostawiwszy czerwone ślady od świeżo pastowanej posadzki, wróciły tam, skąd wyszły. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

— Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zaczynać wcześniej.

— Masz jeszcze dobrą godzinę czasu — odrzekłem.

Okrągły zegar firmowy o pogiętej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na wpół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnokregu a węglową kompozycją przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

— Wezmę Szekspira, postaram się zrobić w nocy *Hamleta* na wtorkowy komplet.

Przeszedłszy do drugiego pokoju kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nie heblowanych desek. Deski ugiwały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i jak morskie dno przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzony szybą od nocy, zaplątany w cienką koronkę firanki wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu, wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwóch godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego. Występował wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

— Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezertorem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwić złu.

— Ja się sprzeciwiam złu — rzekł leniwie Piotr. Leżał rozwalony między dwiema rozmamłanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach. — Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

— Umyj nogi, Polek — rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

— Ale! chcielibyście. Uważacie, był taki szczep Wandalów, bardzo tchórzliwy — ciągnął Apoloniusz zesunąwszy piętą talerze na kupę — wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę, gdzie biskupem był święty Augustyn, ten od świętej Moniki.

— A wtedy święty wyjechał na ośle i nawrócił Wandalów — powiedział spod pieca młodzieniec pyknąwszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkciem jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieżnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzciliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwszym punkcie Grójeckiej wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożeniliśmy ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyczyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbru, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

— Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? — Żydóweczka, która uciekła z getta i tej nocy nie miała gdzie spać, uklękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. — To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoteczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wicie, to trudno nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie ozdobionej lśniącymi falami przylizanych włosów.

— Przecież pani była pieśniarką? Chyba niczego pani nie brakowało. — Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy, z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się zalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty krzyżyk.

— Brakowało? Nie, nie brakowało — odrzekła z błyskiem zdziwienia w zażawionych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. — Niech pan zrozumie, z artystkami nawet Niemcy inaczej... — urwała i zamyśliła się patrząc tępo w książki. — Platon, Tomasz z Akwinu, Montaigne — dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów kupionych na wózkach i wykradzionych z antykwariatu książek.

— Tylko żeby pan widział to, co ja widziałam za murami...

— Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie oblegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! — rzekł maniacko Apoloniusz. — Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. *Ergo* — wznosił dłoń z rozczapierzonymi palcami ku sufitowi — wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurach okładki tomiku poetyckiego. Ciągnęło od nich tęgą farbą drukarską. Światło przebijalo się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i plątało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

Żydóweczka podeszła do patefonu i zmieniła płytę.

— A ja myślę, że po aryjskiej stronie też będzie getto — powiedziała patrząc z ukosa na Marię. — Tylko nie będzie z niego wyjścia. — Odplynęła w tańcu, zabrana przez Piotra.

— Ona jest zdenerwowana — rzekła cicho Maria. — Jej rodzina została za murami.

Igła trafiła na pęknięcie w płycie i zawodziła monotownie. We drzwiach stanął zarumieniony Tomasz. Jego żona poprawiła sukienkę na lekko wypukłym brzuchu.

— „jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nie porozpychanych nozdrzem konia” — zadeklamował i wskazawszy ręką za okno, na bramę, krzyknął z uczuciem: — Koń, koń!

W kręgu złotawego światła znad drzwi śnieg oślepiająco biały i gładki leżał jak talerz na popielatym obrusie, dalej, w cieniu, szarzał i siniał, jakby odbijał niebo, aż dopiero przy furtce mienił się w blasku lampy ulicznej. Załadowana jak wóz z sianem platforma stała w ciemności, nieruchoma jak góra. Czerwona latarnia kołysała się pod kołami, kładąc na śnieg, rozchwiane cienie, oświetlając nogi i podbrzusze konia,

który wydawał się wyższy i tęższy niż zazwyczaj. Szły od niego kłęby pary, jakby oddychał skórą. Zwiesił łeb, był zmęczony.

Furman stał obok wozu i cierpliwie czekał zabijając rękoma o pierś. Kiedy odciągnęliśmy z Tomaszem skrzydła bramy, sięgnął bez pośpiechu po bat, machnął lejcami i cmoknął. Koń poderwał łeb, szarpnął się całym ciałem na boki, ale wóz nie ruszył. Przednie koła utkwiły w rynsztoku.

— Za pysk cholere i do tyłu — rzekłem ze znanstwem. — Zaraz położę deskę do rynsztoka.

— K'sobie! — krzyknął furman napierając na dyszel.

Żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący sąsiedniego budynku byłej szkoły miejskiej, napakowanej jak więzienie „ochotnikami” przeznaczonymi na roboty do Prus, bijąc tępo podkutymi butami o kamienie chodnika nadszedł od strony latarni. Przez pierś miał przewieszony reflektor na rzemieniach. Podkręcił kontakt i uprzejmie zaświecił.

— Za dużo kłopotów naładowane — rzekł rzeczowo. Spod okapu helmu, z głębokiego cienia oczy jego błyszcząły nad strugą światła ostro jak wilcze ślepie. Co dzień rano przychodził do kantoru telefonować po zmianę warty i nieodmiennie meldował, że nic ważnego w ciągu nocy nie zaszło.

Koń chrapnął, osadził się na tylnych nogach, napał ciałem do tyłu i platforma dźwignęła się po kocich łbach. Teraz koń pociągnął ku przodowi. Wóz naładowany po wierzch jak krypa walizami, tłomokami, betami, meblami i brzęczącymi naczyniami z aluminium chwiejąc się wjechał po deskach na podwórze. Żandarm zgasił reflektor, poprawił na sobie pasy i miarowym krokiem oddalił się w stronę szkoły. Zwykle ją mijając, dochodził do małego kościółka księży pallotyńców (częściowo spalonego we wrześniu i odnawianego pieczołowicie a nieustannie w ciągu całego sezonu materiałami z naszej firmy), skręcał pod gnijącym murem schroniska dla bezrobotnych, mieszczącego się w pofabrycznych halach tuż przy torze kolejowym. Był to ruchliwy port przeladunkowy, tędy bowiem płynęły belami i pojedynczo koce, kupony materiałów, ciepłe ubrania, skarpety, konserwy, serwisy, firanki, obrusy i ręczniki oraz wszelkie inne dobro kradzione z pociągów towarowych idących na front, a także kupowane od obsługi wagonów sanitarnych, które, wracając z frontu z zegarkami,

jedzeniem, rannymi, bielizną i częściami do maszyn, meblami i zbożem, zatrzymywały się często na dworcu jak przy molu portowym.

Furman trzasnął jeszcze raz dla fantazji batem, cofnął konia i podjechał tyłem pod drewnianą szopę. Koń robił bokami i dymił parą. Odprężony z szorstką czułością przez woźnicę, powstał chwilę w dyszlach, jakby znużony ponad siły, wreszcie, podgoniony ostro, ruszył wolno pod kran i wetknął pysk w kubel. Wypiwszy do dna nadsiorbnął wody z drugiego i włócząc za sobą uprząż poszedł w stronę otwartych drzwi stajni.

— Sporo przywozieś, Olek — rzekłem rozejrzawszy się w zasobach platformy.

— Wszystko kazała zabrać — rzekł woźnica. — Patrz pan, załadowałem nawet taborety z kuchni i półki z łazienki. Stara stała nade mną jak kat nad dobrą duszą.

— Nie bała się tak w biały dzień?

— Pozwolenie dla niej dostał zięć od swego kolegi — rzekł Olek. Twarz miał kościstą, wychudłą, ściągniętą mrozem. Zrzucił czapkę. Sztywne od wapna włosy rozmierzwiły mu się nad czołem.

— A córka?

— Została z mężem. Klóciła się ze starą, że musi zostać jeszcze dzień. — Popluł w żylaste, wykrzywione dłonie, zżarte od cementu, wapna i gipsu. — Ano, będziem zdejmować. Włazł na wóz, rozplątał sznury i począł podawać jedno po drugim krzeselka, wazon, poduszki, kosze z bielizną, pudła staroświeckie, osznurowane książki. Chwytałyśmy je z Tomaszem i na cztery ręce wnosiliśmy do zatęchłej, ciemnej szopy, układając towar na betonie między workami z na wpół skamieniałym cementem, stosem cuchnącej smołą czarnej papy a kupą suchego wapna przeznaczonego na detaliczną sprzedaż chłopom. Wapno cienkim pyłem unosiło się w powietrzu i gryzło nieznośnie nozdrza. Tomasz sapał spazmatycznie. Był chory na serce.

— Powiedz pan, po co ją kierownik wziął do siebie? — zapytał woźnica skończywszy ładunek.

— Zrobiła go człowiekiem, to się jej wywdzięcza. — Zasułem drzwi szopy i zamknąłem je na kłódkę.

— Wdzięczność jest rzeczą piękną — rzekł Tomasz. Od-

dychał miarowo, wciągając głęboko powietrze. Chwycił w garście śnieg i mył nim dłonie. Wymarł je o spodnie.

— Taa... narobiłem się dzisiaj — powiedział furman złącząc z platformy. Nie mógł się swobodnie ruszać w twardym kożuchu, pokrytym skorupą wapna, smoły i dziegciu. Oparł się o wóz, z ulgą pociągnął nosem i otarł ręką czoło. — Panie Tadku, panie Tadku, co ja tam widziałem, to byś pan nie uwierzył. Dzieciaki, kobity... Chociaż i żydowskie, ale wiesz pan...

— Ale pan jakoś wyjechałeś szczęśliwie?

— Inżynier nas widział po drodze. Będzie co z tego?

— Ale — rzekłem lekceważąco — co nam te ciapciaki mogą zrobić? Jak kierownik chce kupić filię, to muszą z nim dobrze, nie? Pojedziesz z rana z kursem. Metr wapna na lewo. Wrócisz przed siódmą.

— Ano, trzeba rano z dołu wyrzucić. Konia oporządę. — Powlókl się w ślad za zwierzęciem do stajni. Przechodząc koło kantoru uchylił czapki.

W złotym kręgu światła jak w aureoli, otoczona jak dłońmi siną nocą połyskującą pierścieniem gwiazd, stała Maria. Przytknęła za sobą drzwi od muzyki i ludzi i wyczekująco patrzyła w mrok. Otrzeptałem ręce z kurzu.

— A jak jutro z rozlewaniem i rozwiezieniem? — Ująłem ją pod ramię i po chrupiącym czerstwym śniegu poprowadziłem wydeptaną ścieżką do furtki. — Może poczekasz do południa? Rozwieziemy razem.

Staliśmy w otwartej furtce. Po pustej ulicy, otwartej migocącym światłem latarni, tępym krokiem spacerował żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący szkoły. Nad ulicą, nad światłem latarni, nad stromym dachem wtulonej w mur szopy szedł z szumem wiatr, niósł dym pociągów, gnały pierzaste obłoki, a nad wiatrem i chmurami drżało niebo głębokie jak dno ciemnego potoku. Księżyc prześwitywał przez chmury jak złoty szmat piasku.

Maria uśmiechnęła się czule.

— Wiesz dobrze, że sama rozwiozę — rzekła z wyrzutem, podając mi usta do pocałunku. Wielki czarny kapelusz ocieniał jej twarz jak skrzydłem. Była o pół głowy wyższa ode mnie. Nie lubiłem przy obcych jej pocałunków.

— Widzisz, solipsysto poetycki, co może miłość — rzekł

pogodnie Tomasz. — Bo miłość to poświęcenie. Mówię z głębi doświadczenia, bom wiele miał kochanek.

Zmierch, który zaciera rysy człowieka, nadał mu bryłowatość i ciężar, jakby Tomasz był ociosanym z grubsza kamieniem. Pieprzyk pod lewym okiem czerniał filuternie na monumentalnej, jakby kutej z szarego piaskowca twarzy.

— Oczywiście, że miłość! — parsknęła beztroskim śmiechem Maria i, dygnawszy nam dystygowanie, odeszła ulicą wzdłuż siatki, naprzeciw chmurom, które wiatr gnał nad naszymi głowami. Minęła sklep paskarza, gdzie nabywałem chleb i kaszanke na śniadanie, a chłop swoje dzieci zamknięte w szkole. Znikła za rogiem nie obejrzawszy się. Patrzyłem za nią jeszcze chwilę, jakby tropiąc w powietrzu jej ślad.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziałem uśmiechając się do Tomasza.

— Daj furmanowi wódki, jeżeli masz gdzie pod łóżkiem — rzekł Tomasz. — Chodź, trzeba zbratać się z ludem.

II

Nocą spadło trochę śniegu. Zanim otworzyłem oficjalnie bramę na znak rozpoczęcia dnia handlu, wyprawiwszy pijanych gości i sprzątnawszy pokój, furman, który wstał przed świtem, zdążył wyrzucić wapno z dołu i zawieźć na budowę, a wróciwszy z kursu wyprząc konia i usunąć z placu ślady kół. Tak wczesnym rankiem na dworze było jeszcze sinawo, a na ulicy — pusto. Z torów kolejowych dochodził grzechot pociągów. Patrolujący żandarm poszarzał i zmalął w odpływającym mroku, który go zostawił na wybrzeżu wyludnionej ulicy jak zapomniany wodorost. W oknach byłej szkoły zaczynały pojawiać się głowy uwięzionych ludzi. W paskarskim sklepiku, przy składzie, grzali się przy rozżarzonym piecyku dwaj granatowi policjanci. Mrugający po pijacku czerwonymi oczyma sklepikarz rozkładał drżącymi rękoma na ladzie za szkłem ser, kaszę i chleb. Chłopka wyciągnęła z koszyka pęta kiełbasy, które zniknęły pod ladą w podwójnej ścianie. Przez

zamarznięte szyby sączył się szary świt. Po zardzewiałych kratkach spływały brudne krople, monotonna spadały na parapet i ciurkiem lały się na podłogę.

Latem, jesienią, zimą i wiosną uliczka — ślepa, wybrukowana kocimi łbami, śmierdząca zgnilizną otwartych rynsztoków, uliczka zagubiona między grząskim jak przegniły trup polem a szeregiem zmurszałych, parterowych domków mieszczących pralnię, fryzjera, mydlarnię, parę sklepików spożywczych i obskurny bar — dzień w dzień pęczniała wzbierającym, rozfalowanym tłumem, który podpływał pod betonowe mury szkoły, wyciągał twarze ku nowoczesnym oknom, ku pokrytemu czerwoną karpiówką dachowi, podnosił głowy, wymachiwał rękoma i krzyczał. Z otwartych okien szkoły wołano i dawano białymi dłońmi znaki jak z odbijającego od brzegu okrętu. Ujęty jak w groble w dwa szeregi policjantów tłum odpływał korytem ulicy, odchodził aż do placu leżącego u jej wylotu, skąd otwierała się miła oczom perspektywa na zapuszczone mielizny nad rzeką, porośnięte kępkami postrzępionej wikliny i pokryte z rzadka liszajami śniegu, na most nad leżącą na migotliwym nurcie mgłą, na żółte, pastelowe domy miasta, roztapiające się w czystym, spokojnym, błękitnym niebie — kłębił się rozpaczliwie na placu i znowu powracał z krzykiem.

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbru z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast znikał w zakamarkach ulicy, albo, kalecząc się nieludzko, przełaził przez druty kolczaste na plac naszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciany cegieł, trocinówek, szpaltówek, ramsayek, zachodziły do sąsiedków z grynikiem, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrudno. Obudzony się wyrzuciłem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści z procederu oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego płaskim, ludzkim sprawom żandarma) ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. Nie odczuwał jednak ani obowiązku, ani potrzeby wdzięczności. Dzień w dzień wpa-



dałem do niego po ćwiartkę razowego chleba, dziesięć deka kiszki kaszanej i dwa deka masła. Z reguły mi nie dowoził, a cenę wydatnie zaokrąglął. Uśmiechał się wstydliwie, ale ręka drżała mu przy zgarnianiu pieniędzy.

Zresztą. On nie dolewał do pełna setki bimbru, nie dowoził deka masła, ciął chleb na nierówne części i wyciskał z chłopów bezlitośnie forszę za każdą wypuszczoną na lewo dziewczynę, gdyż chciał żyć sam, miał żonę, synka w drugiej gimnazjalnej i dorastającą córkę, uczennicę kompletu licealnego, odczuwającą nęcące powaby stroju, urok chłopców, smak nauki i czar konspiracji: firma budowlana zaś sprzedawała, tak chłopom, jak inżynierom, mokry ton, skamieniały cement, mieszała wapno z wodą, a lepek z piaskiem, a także odbierając wagony z towarem stwierdzała, przy cichym zrozumieniu magazyniera kolejowego, poważne manko, co natychmiast wpisywało się w księgi. Dostawca urzędowy nabierał w usta wody, miał bowiem z firmą osobne rachunki, których nie księgowano nigdzie.

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdała wszystkim utrzymanie. Prawowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoły i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej w czasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące, jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierżawił plac po spalonej we wrześniu firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze Wschodnią Koleją Niemiecką o zakup i rozbudowę własnej bocznicy kolejowej i postawienie przy niej magazynów przeładunkowych.

Równie pomyślnie układały się losy pracowników Inżyniera. Wprawdzie ustawodawstwo okupacyjne zabraniało Inżynierowi wypłacać tygodniówki ponad 73 złote, jednak Inżynier

kilkunastu swoim ludziom dawał z własnej inicjatywy prawie sto złotych tygodniowo bez odtrącenia kosztów, podatków i świadczeń. W wypadkach nagłych — jak wywózka rodziny do lagru, choroba albo łapówka — nie uchylał się wcale od obowiązku. Przez trzy miesiące finansował moje studia na podziemnym uniwersytecie, stawiając mi tylko jeden warunek: abym uczył się dla Ojczyzny.

Filia urządziła się inaczej. Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełne metry. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże zżywszy się z kierownikiem serdeczniej, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbru odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi lwi udział z detalicznej sprzedaży, kierownik pogrążył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę jako punkt przelotowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znalazł się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił się z szoferami i sprzedawcami części samochodowych, prowadził także ożywioną wymianę z gettem. Uprawiał handel z wielkim lękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębiorstwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie, odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną — drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych. Z dorobku tych czasów ocalił place i walutę oraz głębokie przywiązanie do starej doktorowej.

Stara siedziała na miejscu Marii w nogach drewnianego tapczanu. Twarz miała ziemistą, zrujnowaną, pustą jak wy-

ludnione miasto. Ubrana była w czarną jedwabną suknię, wytartą i błyszczącą na łokciach. Na szyi miała aksamitną szeroką wstążkę, a na głowie staroświecki kapelusz ozdobiony bukietem fiołków, spod którego wymykały się pasma rzadkich siwych włosów. Na kolanach trzymała starannie złożone palto z wyleńniętym kołnierzem. Odziana była zbyt biednie, jak na przedwojenną właścicielkę ogromnego składu towarów budowlanych, paru ciężarowych samochodów, własnej odnogi kolejowej, dziesiątków robotników i niewyczerpanego konta w bankach krajowych i szwajcarskich, zbyt biednie nawet jak na posiadaczkę platformy wszelakiego bagażu, wielu precyzyjnych maszyn do liczenia, zapobiegliwie i przezornie oddanych na przechowanie do konsulatu szwajcarskiego, nie mówiąc już o złocie i brylantach, które — według wyobrażenia ludzi ze strony aryjskiej — każdy Żyd przynosił z getta. Ubrana była biednie, siedziała skromnie w kącie. Wzrok utkwiła pod sufitem, oglądając pajęczynę na górnej półce książek. Pajęczyna się kołysała, bo pajak piał się do góry.

— Jasienku, zatelefonują, co? — rzekła stara do kierownika po długim milczeniu. Ze zdziwieniem poderwał głowę z nad książki o czasach i zabobonach średniowiecznych. Mówiła chropawym szeptem, jakby tarł kamieniem o kamień. Świszczący szept wydobywał się z gardła wraz z oddechem. Dwa masywne złote rzędy zębów błyszcząły w ustach, zdawało się, że kłapnęły, niemal że zadźwięczały. — Bo powinni dać znać, czy przyjdą. Prawda, że powinni? — Skierowała na niego wyblakłe, martwe, jakby zamarzłe oczy.

— A, to trzeba lepiej poczekać, pani doktorowo — rzekł stanowczo kierownik. Pracowicie wychuchał w oblodzonej szybie otwór i, przechylając głowę, jednym okiem spoglądał z ukosa na plac, na otwartą bramę, na ulicę, która wzbierała już tłumami, bębnił palcami po ramie okiennej, czekał na klienta. — Przecież pan dyrektor obiecał telefonować. Wyjdzie pewnie dzisiaj razem z córeczką pani doktorowej.

— Jasio tylko tak mówi. A jeżeli im się nie uda, Jasienku? — Przeniosła znowu wzrok z sufitu na okno. Zwiędłe, pokurczone, robaczywe dłonie położyła na żółtej chustce, zacisnęła palce, jakby ją chciała zerwać z ramion, i bezwładnie opuściła na kolana.

— Co też pani doktorowa mówi! — gwizdnął niedowierzająco kierownik. Poglądził bujne, złociste, falujące włosy, odrzucając je niecierpliwym ruchem głowy. Spod mankietu popelinowej koszuli odsłonił się przy tym ruchu złoty „longinus”, podłużny, wygięty, dopasowany do okrągłości przegubu, pamiątka po dobrych czasach w firmie na Towarowej. — Co pani doktorowa myśli! Zięc, dyrektor w szopach, może wyjść, kiedy zechce! Pozałatwia, co trzeba, portfel do kieszeni i — fiuuu! Tyle go zobaczą! Co pani się martwi, jak wyjdą? — Przysunął sobie krzeselko i usiadł wyciągając wygodnie nogi w długich oficerskich butach. — Tu trzeba myśleć, skąd kupić mieszkanie! Pani doktorowa wie, ile żądają? Pięćdziesiąt tysięcy! Dobrze, że człowiek w pierwszym roku wojny kupił sobie jaki kąt, bo co by robił? Na sublokatorce by żył? Do kwaterunku by poszedł?

— Jasio sobie radę da! — szepnęła doktorowa i uśmiechnęła się lekko kącikami ust.

— Człowiek ma, chwalać Boga, ręce i nogi, myśli, jak gdzie może chapsnąć, i dlatego żyje! Panie Tadziku — przechwilił się do mnie — pańska narzeczona wygotowała dwadzieścia pięć litrów. Oszczędna dziewczyna! Buzi dać! I węgla wypaliła o połowę mniej. Robotna, nie ma co!

— Telefonowała — bąknęłam znad książki. — Pojechała na miasto rozwozić bimber. Powinna wrócić niedługo.

Między piecem a wieszakiem było mrocznawo, ale ciepło. Rozgrzane plecy łaskotały rozkosznie. Głowa ciążyła mi i szumiąca. Odbijało mi się wódką i jawkami. Książka o średnio-wiecznych klasztorach budziła na wpół senne marzenia o ciemnych celach, gdzie wśród zabobonów ludu, rzezi szczepów i pożarów miast dokonywała się praca ocalania ducha ludzkiego.

— Jasieńku, czy walizki są w porządku? — szepnęła stara głucho, jak z dna studni. — Bo Jasio wie, że to jedyny teraz majątek córki. Ona jest taka niezaradna. Przyzwyczaiła się do opieki matki.

Wygrzewając się pod piecem, zapatrzyłem się w podłogę. Koc spuszczoney z tapczanu nie sięgał zapastowanych na czerwono desek. Widać było spod niego czarną przykrywą remingtona. Wziąłem maszynę z szopy, aby nie zamokła, i wstawiłem na wszelki wypadek pod łóżko.

— Pani doktorowo, u nas wszystko musi być w porządku — kierownik zatarł z przyzwyczajenia rękę i popatrzył chwilę na mnie — w porządeczku jak w ubezpieczalni. Cóż to, pani doktorowa mnie nie zna?

— A jak oni tu mnie nie znajdują? Uliczka jest taka mała i na peryferiach — zaniepokoiła się nagle stara. — Zatelefonuję — zdecydowała i poruszyła się na tapczanie.

— Zwariowała pani doktorowa na starość? — parsknęła nagle kierownik i gniewnie zmrużył serdeczne, niebieskie oczy, przykrył je prawie rękami koloru słomy. — Niemców na głowę sprowadzić? Dać im podsłuchać? Owszem, ale nie od nas!

Stara nastraszyła się i nadęła jak obudzona znieścacka sowa. Splotła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Machinalnie obracała w palcach broszkę przypiętą do sukni.

— Jakże się pani przedostała do nas? — zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

Drzwi kantoru trzasnęły. Klient zatupotał nogami, objając z butów śnieg. Kierownik kopnął krzesło i wyszedł do klienta. Stara podniosła na mnie puste oczy.

— Dwadzieścia siedem razy byłam w blokadzie ulic. Wie, co to blokada? Pewno nie bardzo wie? No nic — zachrypiała w przejęciu, kiwając przyjaźnie ręką. — Mieliliśmy kryjówkę za szafą w takiej specjalnej niszy. Dwadzieścia osób! Małe dzieci się nauczyły, to jak żołnierze chodzili i bili kolbami o ściany i jak strzelali, to małe dzieci tylko milczały i patrzyły takimi otwartymi oczyma, wie? Czy oni zdążą wyjść?

Podszedłem do półki z książkami. Włożyłem książkę między średniowiecze. Obejrzałem się na starą.

— Dzieci? — zdziwiłem się.

— Nie, nie, nie! Tam dzieci, co dzieci! Zięć i córka czy wyjdą! On żyje w wielkiej przyjaźni z szefem. Jeszcze z uniwersytetu w Heidelberg.

— Czemu nie wyszedł z panią?

— On tam ma interesa. Jeszcze dzień, jeszcze dwa... Tam się wszystko kończy. Ciągłe *aus, aus, aus!* Pusto w domach, pierze na ulicach, a ludzi wywożą, wywożą...

Zadyszała się i zamilkła.

Zza drzwi dochodziły brzękliwe, przekomarzające się głosy. Klient i kierownik ustalili cenę dostawy drzewa z pożydowskich

domów z getta otwockiego, sprzedanych przez kreishauptmana hurtem polskiemu przedsiębiorcy. Skrzypnęły drzwi, wyszli do sklepiku przypięć transakcję. Kierownik był abstynentem, ale dawał się skusić przy szczególnie pomyślnych wydarzeniach.

— Ja bym chciała do swoich rzeczy — rzekła nagle stara. Odrzuciła palto z kolan i z pośpiechem podreptała na dwór.

Urzędniczka w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobna i sucha, umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy. Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą tylko na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała, co to lepik, a co bitumina, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki ozdobione godłem miecza i pługa. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadowalałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

— Cóż z tą starą? Mebli dużo? — zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesformnie włosów.

— Każdy ratuje się, jak może.

— Przy pomocy bliźnich — zmrużyła złośliwie oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łojem. — Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyszła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kozuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

— Budy na mieście — rzekł woźnica. — Byłem w centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

— A to ładnie — prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włoczyła nogami w zbyt głębokich kapcach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijają-

cymi przez cienką sukienczyne biodrami. — Jakże ja wrócić do domu?

— *Per pedes* — rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr zmieszany ze śniegiem zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami, jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. Kłęby białej pary podnosiły się znad kipiącej mieszaniny i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dziennie przerabiał na mrozie do dwu ton wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemykał się ku polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, pączkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji leżącej na tyłach szkoły trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym — jak głosił wyblakły od śniegu plakat — miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska, z plikami gazet niemieckich pod pachą, kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzeżane z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodne, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich, wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi, zasiekami i tablicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falował tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumy wynurzały się pękate, okryte brezentem ciężarówki i mierząc kołami śnieg, ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim wozem wybiegła z tłumy kobieta. Nie zdążyła. Samochód nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żandarma. Wepchnął ją w tłum.

„Miłość, oczywiście, że miłość” — pomyślałem ze wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pustoszał przed nadchodzącą łapanką.

— Telefonowała narzeczona — powiedział kierownik. Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wąsem i zaczął nogami taneczne półkola. — Jedzie z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie, podszyte złośliwością spojrzenie.

— Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się martwi?

— Powinna dać sobie radę — rzekłem do kierownika. Zziąbłem na kość. Pogrzebałem kociubą w piecu i dołożyłem torfu. Z otwartych drzwiczek buchnęło dymem na całą izbę. — Chyba w tym miesiącu wagonów nie dostaniemy? Pewnie zrobią szperę wagonową?

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krześle i delikatnymi jak u pianisty palcami stukał po stole.

— A co nam przyjdzie z tego, jak puszcza wagony? — rzekł z goryczą. — Inżynier boi się trzymać cement i gips, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na Forcie Bema, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebrny ma co dusza zapragnie, a my co? Gąsiory, felcówki, grysiki, lepiki, maty trzciniowe!

— Niech pan nie przesadza — rzekła urzędniczka. — Gdyby pogrzebali w szopach, toby to i owo...

— Pewnie, że to i owo! Bo kombinują na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyć!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niemałą gestykulacją.

— Nasz samochód — szepnąłem zasłaniając ręką tubę. — Co powiedzieć?

— Niech da pięćdziesiąt.

— *Fünfzig* — rzekłem do tuby. — *Abends?* Niech będzie wieczorem.

— Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść — zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie, jak zapędzone w kąt zwierzę. Kierownik zakrzętnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynie i sprzątnął stolik.

— Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz — wyrzuci tę sikę, a dwa... no co, zdecydowałeś się pan?

— Cóż ja mam wobec pana? — rzekłem beznadziejnie. — Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan, jak to jest; trochę książek się kupiło, trochę łachów, i tak. Papier też kosztował.

— A sprzeda pan chociaż te wiersze?

— Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła — odparłem urażony.

— Jeżeli dobre, to powinni kupować — rzekł ugodowo kierownik zagryzając bułkę. — Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb.

Stara zajała powoli, ale z apetytem. Złoty masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miękiszu bułki. Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając instynktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Pallotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechnął się nieśmiało. Powiadomiwszy o łapance zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik. Zapłacił z góry samymi złotówkami powiązanymi w paczki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł i nałożywszy czarny kapelusz wyszedł szeleszcząc sutanną.

— Na wieki wieków — odparła urzędniczka. Zakręciła piec i wytarła palce w skrawek gazety. — Jak pan myśli, co ta stara zrobi?

— Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma za grubą forszę, żeby ją puścił z rąk — rzekłem półgłosem.

— Ale — prychnęła pogardliwie — więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z getta. Już za późno. Szpera na całego.

— Stara pomartwi się trochę i przestanie.

— Bardzo być może.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

III

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna okładek tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru w formacie *in folio*, dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami), jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniosłe metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno-białymi winietami, przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedynczych kawałków matrycy białkowej, które nalepione na siatkę dawały białe plamy, sama zaś siatka — plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień — bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów, obłożyłem w gruby pergamin, zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio, oczekujące na mechanika, walizeczkowy powielacz, płaski jak cygarnica, solidną maszynę do pisania remington zabraną z szopy, aby nie zmokła, oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który miał wynosić się z domu, a nie

miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamiłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan, szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kloszem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobiazgowo notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach głębokie sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach, i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaproszał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziała jak wilgotna cegła, nabiegała czernią, nieruchomiła, jakby milkła, bezgłośny wiatr podnosił znad toru kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosa jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykle przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły w mroku jak we wzbierającym przypływie. Został tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka, i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

Na podwórzu krzatali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki, jak z worka i ciskał je z rozmachem na platformę. Na platformie stał stary lasownik z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękanie bagaż i ubijał go fachowo na wozie, jakby układał torby gipsu albo hydratyzowanego wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

— Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony — rzekł do starej gniewnie, wydymając wargi. — Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Po co był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu buraczanych wy-

pieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszcząły zza warg.

— Niech bardzo uważa przy pakowaniu — powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskanym pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. — Niech Jasio wybaczy — zwróciła się do kierownika — że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

— Co tam pani doktorowa ma myśleć — rzekł kierownik wzruszając ramionami. — Pieniądze, co je wziąłem, to dałem na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

Zgarbiona pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i zwyczajem krótkowidzów, mrugając zaczerwienionymi powiekami, patrzyła na kierownika oczyma załzawionymi. Milczała i uśmiechała się.

— Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak, i tak giemza — mówił dalej kierownik patrząc w ziemię, na szprychy koła i na błoto pod kołami. — Co, pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabiją, spalą, zniszczą, stratuja, i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę plując dymem i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś podskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wepchnął się zadem na przeciwny chodnik i jak żuk wypełznawszy przez rynsztok na podwórze podjechał pod rozwartą szopę. Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombinezonie i niemieckiej furacerze zawadiacko osadzonej na kruczych, lśniących włosach.

— *Abend*. Pięćdziesiąt? — zapytał i plasnawszy z rozmachem w ręce wszedł kołysząc biodrami do szopy. Rozejrzał się z zainteresowaniem po kątach.

— O la, la! Wyprzedaliście wszystko? — rzekł cmoknąwszy ustami. — Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

— Ten numer nie przejdzie — rzekł kierownik rozkładając ręce wymownym gestem.

— Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej — powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

— Ma on ludzi do wyladowania? — zapytał mnie kierownik. — Trzeba brać.

— *Keine Leute* — roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe, końskie zęby i błyszczące, starannie wygolone policzki. Podszedł do przyczepki i rozsznurowawszy plandekę zakomenderował: — *Meine Herren, raus!* — Proszę was bardzo — *ausladen!*

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili palta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwycił je rękoma, przyciskał płaski worek do piersi, niósł do magazynu i rzucał z trzaskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu, jak należy układać cement, wiążąc worki, by sterta nie przewaliła się k'czortu.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

— Oni mają się pośpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej.

Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska bransoletka luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

— Prędzej, prędzej, *du alte Slawe* — mruczał przez zęby. Napotkawszy moje badawcze spojrzenie uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie umączony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody) podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

— Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

— Po dwadzieścia — mruknąłem nie ruszając wargami. — *Komm* do kantoru. Obliczymy się — rzekłem do żołnierza. Zgasił zapalkę, przydeptał troskliwie podeszwą. Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły różowy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

— *Fünfzig* sztuk? Pięćdziesiąt? — pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

— *Ja, ja, chef*, ja liczę! Ani jednego więcej! — wykrzyknął gorliwie podawacz spod plandeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury. Osnurowali platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze, skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną, na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze, stołki, klekocące naczynia. Platforma stała cierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą trzymając ręce w mufce. Ujrzawszy przechodzącego z bliska żołnierza przestraszyła się i skryła za drzwi magazynu.

— Przeprowadzka? — zapytał mimochodem szofer.

— Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóż by innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelestnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle jak człowiek, który postanowił się nie dać.

— Wy ale żyjecie spokojnie — rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz — a nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

— Więc udał się obiad czy nie? Buraczki — nie. Weź karpuszę. — Uśmiechnął się wyrozumiale. — Dzieciak? Śpi? Obudź go, już śpi dwie godziny.

— Książek przybyło, co? — rzekł żołnierz uchyliwszy drzwi do pokoju. — O, jaki nastrój! Tylko patefon nastawić! Panienska, co panienska? — Pokazał palcem na czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza, żebraczkę pod chropawym murem trzymającą za rączkę dziecko z wylupiastymi oczyma oraz martwą naturę z żółtym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobył z portfela paczkę starannie powiązanych banknotów i przeliczywszy modlitewnym szeptem, podał szoferowi.

— Znowu środa, następny tydzień, *ja?* — zapytał szofer.

— *Ist gut* — rzekł kierownik — *ist sehr gut*. Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład, toby się nie krył z towarem. Przetrzywałby parę dni, zarobek pewny.

— Urzędniczka zaraz poleci do Inżyniera.

— Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie... Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom. Ale i tak Inżynier musi być dobrze

z nami. Wpakował forszę w bocznice i robi bokami — powiedział chełpliwie kierownik.

— *Kombinuj pan kupić tę budę. Ja, co będę miał, dołożę.*

— *A jak zupełnie zabronią budować?*

— *Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Plac i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.*

— *Zapomniała maszyny u pana — powiedział kierownik. Odcesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajarską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpieczny przed łapanką.*

— *Maszyna przyda się firmie.*

— *Ja, ist gut. — Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezону i uściśnawszy nam serdecznie, ale nie wylewnie dłoń, wyszedł chrzęszcząc butami.*

Furman odjął koniowi worek z obrokiem, zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pełgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła skrzypiąc za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocienioną aleję.

Między purpurową jak spieczone usta koldrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki, a pękatymi walizami — zwinięta w kłębek jak pies — siedziała, podkuliwszy pod siebie nogi, stara Żydówka, nakryta z góry blatem ukośnie przechylonego stołu, którego nogi niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i podskakując wraz z blatem za każdym poruszeniem wozu zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz, najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że uda się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasa i metalicznym blaskiem opadał na dachy ulicy, w zasłony murów, na chrzęszczący jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Przed szkołą chodził dorodny żandarm, cały niebieski od zmroku. Panny z pralni przesuwały się pod fioletową latarnią i znikwały w cieniu spalonego domu. Od sklepikarza wychodzili podochoceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościółku

począł świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uśpione na parapecie dzwonnicy gołębie, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieżę i jak płaty chryzantem sennie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminął doły na wapno i zatrąbiwszy na pożegnanie opuścił podwórze. Doskoczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

— Dziesięć było, dziesięć! — krzyknął. Plandeka zakryła się za nim.

— Oblatwiliśmy dzień — rzekł kierownik przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupłym. — Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

— Boję się o nią — odpowiedziałem. — Łapanka trawa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

— Co robić — westchnął ciężko kierownik. — Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. — Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

— Czekaj pan, pójde coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. — Wyszliśmy na ulicę zatraskując furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trząsał się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola, nad srebrnym nurtem rzeki kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się rtęciowym światłem w niebo, przekreślały je i jak ramiona marionetek, bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwężał się do jednej ulicy tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówki, przelewając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe, jakby posypane mąką, i jak zdmuchnięte wiatrem nikły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hełmach, wynurzały się spod wiaduktu i trzepocząc skrzydłem cienia, jak potworne motyle,

znikały z hukiem za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów siał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

— Nałapali pod cerkwią — rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Biło od niego odorem wódki i śmierdziało machorką. — Żeby ich ziemia pochłonęła!

— Zabierają się do nas — rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona pręga odcisnięta na łysinie przez czapkę bielala na chłodzie. — Ano, tak — dodał przez zęby.

— Ta Żydówka wyprowadza się od was? — szepnął konfidencjonalnie sklepikarz. — Tak szybko?

— Wyprowadza się gdzie indziej.

— To co będzie z mieszkaniem? — zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. — Ja już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

— To szukaj pan kierownika — powiedziałem niecierpliwie i otrząsałem jego łapy.

— Przepraszam — szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugał powiekami opędzając się od blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

— Ona wraca do getta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

— No pewno — rzekł z przekonaniem sklepikarz. — Przynajmniej umrze z nią, jak człowiek... — westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się z za aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbielalych kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami, zatrzymaną wpół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głąb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zbadały wnętrze tramwajów stojących ze zgaszonymi światłami, zawały się na lewo i na prawo, jak głowa rozdrażnionego węża,

powróciły do ludzi, oslepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii, otoczona szerokim rondem czarnego kapełusza, była biała jak wapno. Trupioblade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum tuż przy żandarmie. Patrzyła z natężeniem w moją twarz jak ślepa, prosto w reflektor. Poruszyła wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrząsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego mischlinga, wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komórce krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.

Dzień na Hermenzach

I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozplywają się w kolorycie nieba. Odurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem siedzę w piaski: i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i dobrze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach stoją koło mnie Grecy. Ale ci ludzie z Salonik i winnych stoków Macedonii boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjawszy koszule, i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

— Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Tadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

— Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo... Przepraszam, że nie wstaję z szyn, ale pani rozumie: wojna, *Bewegung*, *Arbeit*...

Pani Haneczka uśmiecha się.

— Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w łupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

— Jadłem! Ależ, pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esman od tyłu.

Pani Haneczka sypnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale obejrzwawszy się machnęła lekceważąco:

— Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

— W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. — I z rozmachem walnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodię: *La donna è mobile*.

— Ależ, człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

— Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiła, jak byłem biedny...

— ...ale uczciwy — rzuciła z lekką ironią.

— ...a co najmniej niezaradny — odparowałem, jak umiałem. — Ale *à propos* niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła z najśliczniejszą, jaka może być, nazwą „Warszawa” i...

— i... ukradli jak zwykle?

— I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żebym nie wiedzieć jak owiazał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą. Parę dni temu zorganizowali mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej, jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

— Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! Co do mydła masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakunczek dla Iwana, to słonina — rzekła kładąc pod drzewem małe zawiniątko. — A tu, patrz, jakie ładne mydła:

Odwinęła papier, dziwnie znajomy. Podszedłem i przyrzętałem się dokładniej: na obu wielkich jak od Schichta kawałkach wytłoczona była kolumna i napis „Warszawa”.

Milcząc oddałem jej zawiniątko.

— Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących

ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słycać, i wymachiwał wielkim odartym z kory kijem.

— Ale biedny będzie złodziej — rzekłem nie spostrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzuciła mi odwracając na moment głowę:

— Obiad jak zwykle, pod kasztanami.

— Dziękuję!

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluzowane śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

— Pani Haneczka gut, extra prima. To twoja madonna?

— Ależ gdzie madonna! — obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec — to znajoma, no, camerade, filozof, compris, Greco bandito?

— Greco niks bandito. Greco gut człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? Kartofel, patatas?

— Nie jestem głodny, mam co jeść.

— Ty niks gut, niks gut — kręci głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwanaście języków z południa — my jesteśmy głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparszywiąłą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie, jakby oddzielone osobno, mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czającej się gorączki w oczach nie może zagasić.

— Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, laborando, laborando, bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

— A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś — rzekł wysuwając się zza innych stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i stanawszy nade mną ciągnął: — Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubel kartofli.

Słowo kubel przeciągnął długo i marząco.

— Ty się, Beker, odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej ziemią i łopatą, compris? Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz za co?

- Za cóż to?
- Za Poznań. A może to nieprawda, że byłeś lagerältesterem w żydowskim lagrze pod Poznaniem?
- No to co, że byłem?
- A zabijałeś ludzi? A wieszaleś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba?
- Wieszaleś złodziejów.
- Beker, mówią, że jest na kwarantannie twój syn.
- Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon od łopaty, a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę.
- Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał ciebie zabić za tamtych z Poznania?
- Prawda — rzekł głucho. — A drugiego syna powiesilem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.
- Bydlę! — wybuchnąłem.
- Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opanowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą:
- Jak długo siedzisz w obozie?
- O... parę miesięcy.
- Wiesz, Tadeusz, bardzo ciebie lubię — rzekł niespodziewanie — ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?
- Zależy, co to jest głód.
- Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód. Rozumiesz? — A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukiałem kluczem o szyny i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął: — Nasz lager — tam — był mały... Tuż obok drogi. Droga chodzili ludzie ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę, a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to znam życie.
- Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.
- A ty, a ty też tylko twoją porcję jadłeś?
- To co innego. Ja byłem lagerältesterem.

— Uważaj! Laborando, laborando, presto! — wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esman na rowerze i przejeżdżał obok nas, przyglądając się uważnie. Natychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały. Grecy zapadli w zwykłe odrętwienie.

— Która godzina?

— Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Beker, powiem ci coś na odchodnym: dziś będzie na lagrze wybiórka. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

— Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

— Cóżeś się tak wystraszył? Będzie, i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... — Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę nucąc modne tango zwane „krematoryjnym”. Puste oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i wszerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości przewożonych przez auta z kremu, a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ówdzie wjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozprowadzony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam, gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

— *Hoooch*, do góry! — wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mo-

gąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towarzyszy, wyczołgał się z kręgu i podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi jęknął:

— *Zu schwer, zu schwer...* Za ciężkie, kolego, za ciężkie... — Wsadził rozharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

— Do roboty, *auf!* Wstawaj! Ano jeszcze raz! *Hooch!* Do góry!

— Doguri! — zgodnym chórem powtarza tłum, pochyla się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki kręgosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwi-sają luźne i bezwładne.

— Do góry!

— Doguri!

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił o łby, obijał skórę na kościach i glucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dzwignęła się do góry i chybocząc się ciężko zawisła nad głowami ludzi, i ruszyła grożąc w każdej chwili upadkiem.

— Wy psy — rzucił odchodzącym kapo — ja będę wam ale pomagał.

Dyszac ciężko, przecierał ręką czerwoną, obrzękłą twarz o żółtych plamach i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

— Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

— Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

— Poprowadzisz prosto do rowu.

— Ale tam jest wał ziemi po drodze.

— To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

— Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku! Kapo się patrzy!

— Kolejarz, daj mi cytrynę.

— Niech kapo przyśle do mnie pipła. Nie mam w kieszeni.

Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi kulejąc. Idzie na dwór,

na wyżerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą — bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem dociąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokręca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łązą nieporadne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

— Która godzina, kolego?

— Dziesiąta — mówię nie podnosząc oczu od szyn.

— Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdziemy do krematorium?.....

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatrują sobie rany, żeby były czystsze i mniejsze, zrywają bandażę, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być świeższymi i różniejszymi na wieczór. Walczą o byt ciężko i bohatersko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się, żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepłą glinę, aby nie czuć głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

— My wszyscy — krematorium. Ale wszyscy Niemcy będą kaput. Wojna fini, wszyscy Niemcy — krematorium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

— Rozumiesz, Greco gut. Ale to nieprawda, wybiórki nie będzie, *keine Angst*.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama” chodzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować, jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem i czosnkiem i zapilo się puszką skondensowanego mleka.

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął kommandoführer, mały, wysuszony esmanek w rozchełstanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kąpiących. Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciął mnie dwa razy przez plecy.

— Gleisbauer, co tam nowego słychać?

Śmigam łopatą i przybijam ziemię na wierzchu.

— Pod Orłem padło trzysta tysięcy bolszewików.

— To dobrze, nie? Jak myślisz?

— Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

— Tak myślisz? — uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie: — Daleko do obiadu?

Wyciągam zegarek, stary srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

— Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

— Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

— Nie mogę, bo to mój własny, z domu.

— Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi. — Gorąco dzisiaj co?

Milcząc podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw foks o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebecce, potem *Warszawiankę* i *Rotę*, a wreszcie repertuar z lewej strony.

Właśnie gwizdałem *Międzynarodówkę*, wtórując w myśli: — *Eto budiet poslednij i rieszitielnyj boj* — gdy nagle przesłonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką „3277” przyszyty do piersi chwiał się dziwnie i rozrastał się w oczach.

— Co gwizdzesz? — spytał kapo patrząc mi prosto w oczy.

— To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

— A znasz ten slogan?

— No... trochę... z rozmaitych stron — dodałem przezornie.

— A to znasz? — spytał.

I ochryłym głosem zaczął śpiewać *Rote Fahne*. Odrzucił trzon od łopaty, oczy zaślniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą, a pół z politowaniem:

— Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten...

Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

— I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie!

— Kommandoführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćcami ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły, tego ani pan, ani ja nie wiemy.

— Trzymaj pysk, świński psie — i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

— Bierz ludzi i idź po obiad — rzekł prędko kapo.

Rzucam łopatę i znikam za węglem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapy, ochrypli i dychawiczny:

— Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie kommandoführerze.

Rzuciłem na nich nienawistne spojrzenie.

III

Wychodzimy drogą prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Po wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok małego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i o białych, wpółzesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne fioletowe kwiateczki. Na schodach z ganeczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi się mała dziewczynka z wielkim mrukliwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone, brązowe ramiona. Pies jest rasy doberman, o brązowym podgardlu, a ta dziewczynka to córka unterscharführera, gospodarza w Harmenze. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę, trzeba przebyć parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywlec żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wylazimy społem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją

kotły z zupą. Przywiózł je samochód z obozu. Każde komando ma swoje kotły poznaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu spróbować.

— Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy należą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest — monologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda, a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy i kreślę nowe znaki kredą.

— Zabierać! — gromko wołam na Greków, którzy gapią się na proceder pełni zrozumienia.

— Te, coś kotły zamienił! Czekaaj, stój! — wołają tamci, z drugiego komanda, którzy też już idą po obiad tylko się spóźnili.

— Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stękając, klnąc po swojemu „putare” i „porka”, popychając i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią oddzielającą świat od Harmenze. Przełażę za nimi ostatni, słyszę, jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy kamień, a moją rodzinę rozstawiają z uporem po kątach. Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto pierwszy, ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków stawiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko, jak ryby wyrzucone na brzeg, i ukradkiem zlizują palcami ciekącą wążutkami strugami spod nie dokręconych pokryw lepka, gorącą maź. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Podchodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkręcam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzymam dłoń na pokrywie i — podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nie posiekane, włókniste łądygi pokrzyw, o zgnitym kolorze i ohydny zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama: woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdziera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się z wolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w nie dokończonym geście, jak zwierzę zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otępienie. Nie pracują rękoma, lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esman lub kapo albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szczękają żywiej, choć póki się da, latają puste, członki poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włażę wprost na Iwana. Siedzi w swej wnęce i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdażyłem jeszcze dostrzec białe, pierzaste skrzydło i czerwoną głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan zobaczywszy mnie rzucił na worek marynarkę. Słonina przemiękła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

— Od pani Haneczki — rzekłem krótko.

— Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka?

— Kazala ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

— To horoszo. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady.

Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczkuzjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

— O, blad'! Za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? — Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

— A wiesz, Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

— Widziałeś je? — Iwan poruszył się niespokojnie w wnęce. — Trzeba iść, ludzi pognać do roboty.

— Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać.

Chwilę patrzemy sobie twardo w oczy.

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, wąsaty post z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu, rosną maliny o bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoszą się w niej jakieś zielone, oślizłe dziwotwory, czasem ze szlamem wygaranie się czarnego wijącego się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopata powoli przesuwam po dnie. Stoję ostrożnie, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

— Co to będzie tu robione?

— Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

— Skąd masz takie ładne buty?

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podeszwie, ręcznie szytej, półbuty bardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele z rampy.

— Dostałem w obozie razem z tą koszulą — odrzekłem wskazując mu na jedwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

— Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę.

Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawnego łąta. Kiwam w zrozumieniu głową.

— A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

— Jakżeż ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakżeż ja mogę?

Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się nad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopata i zmąciłem obraz.

— Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza tym za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

— Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem

głodny. Chleba i słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym Żydom, którzy pracują tam, przy wale. O, ten, co nosi darń — rzekłem wskazując na małego chudego Żydka i kaprawych, zażawionych oczach — to bardzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre: zelówka się odrywa. — W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem parę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

— Za co ciebie zamknęli?

— Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie niewinnie.

— Wy wszyscy tak mówicie!

— O nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że fałszywie śpiewał, rozumie pan post, *falsch gesungen*.

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulistego rowu, zaczepiła się o coś twardego. Szarpnię: drut. Klnę brzydko pod nosem, a post ogłupiały patrzy na mnie.

— *Was falsch gesungen?*

— O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewano pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpiewał bardzo fałszywie, więc go zamknęli. I powiedzieli, że dotąd nie wypuszczą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedział aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzykalny. Raz nawet pomylił marsz niemiecki z marszem Chopina.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie karabin i bawiąc się zamkiem zarepetował. Podniósł głowę, jakby coś sobie przypominając.

— Ty, warszawiak, chodź, dam ci chleb, oddasz go Żydom — rzekł sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem.

Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać do ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

— Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to proszę rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę

na ziemię, zrywa się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnych wydarzeń”.

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie rottenführer, bardzo dużo błota.

Rottenführer ocknął się i spojrział na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodź no tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabulgotała woda, ja zakrzusilem się śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

— G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Ale jak mówisz do esesmana, to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. — Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

— Ale za co ja dostałem, za co, za co? — spytał zdumiony nic nie rozumiejący.

— Nie pchaj się na ochotnika — odrzekłem — a teraz się oczyść.

Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam po chlebak, przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. Post z drugiej strony przygląda się milcząco.

— Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

— Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słodkiego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem od pani Haneczki trochę jajecznicy. Morowa kobieta! Tylko chciałaby wszystko wiedzieć

o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo pójdzie na dwór, to mu nic nie dają.

— Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

— Powiedz mu to.

— Od czego jesteś pipel. Nie umiesz organizować. Przypatrz się, jak tu niektórzy gęsi łapią i wieczorem smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smakowały mu wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma dopiero szesnaście lat. Szmuglował.

— Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na kogo chcesz mnie napuścić?

Wzruszam ramionami.

— Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

— A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś, a unterscharführer zbil kapę po pysku i zabrał mu ze złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwiżdżą przerażliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z całego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc przeciągnąć błogą chwilę przedobiednią, głód, który zaraz będą nasycać. Spóźniona ciągnie za wszystkimi grupa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim” poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem. Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły go do pośpiechu. Przechodząc koło mnie rzuca:

— Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

— Dzień się jeszcze nie skończył — odparłem.

Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym

i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka, o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posadzono więźniów. Siedli, tak jak stali, po pięciu, szeregami i w grupach. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli przegiąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią szyk szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esmani, maszynowe pistolety położywszy non-szalancko, na kolanach, wyciągają z toreb i chlebaków chleb, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświętnie. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho z nim rozmawia. Załatwia interes — dla siebie i dla kapy. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w ręku niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę, ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala liżącego miskę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, deptając po kolanach i rękach, ale ostrożnie omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapy. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłużył na dolewkę: nie pomyli się nigdy. Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójdą do komina.

Vorarbeiterom należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w ręku oglądam się niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wylupiaste oczy utkwiał pożądliwie w zupie.

— Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miskę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

— A miskę postaw koło siebie, żeby pipel pozbierał, bo dostaniesz od kapy w mordę.

Drugą miskę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

— Rubin, co post mówił? — pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

— Post mówi, że Kijów zajęli — odpowiada cicho.

Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy, jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebie i zaczął jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i zakrywszy głowy marynarkami, zapadali w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całkiem z boku, a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esman, pilnujący komanda, popuszcza smyczę psa. Pies rwie się do jej twarzy, ujadając wściekle.

— Złodziejka? — domyślam się leniwie.

— Nie. Złapali ją w kukurydzy z Petrem. Petro uciekł — odrzekł Andrzej.

— Wytrzyma pięć minut?

— Wytrzyma. To twarda dziewczka.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrział na mnie.

— Nie masz, Tadik, papierosa? Szkoda, ot życie!

Po czym owinął głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodnie i zasnął. Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

— Kapo cię woła. Uważaj, ło zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

— Ty — dotknął mi grożąco palcem piersi — dlaczego oddałeś zupę?

— Mam co innego jeść.

— Co on ci dał za to?

— Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi żuchwami jak krowa żująca pokarm.

— Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia. Rozumiesz?

— Dobrze, kapo.

— Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

— Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

— Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

— Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrzął na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

— Czego ty tu chcesz? — zapytał.

VI

Spod kasztanów doszedł mnie zdławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucam Jankowi:

— Janek, weź skrzynkę, bo się mamusia będzie gniewała — i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w mordę, w brzuch, w podbrzusze...

— Patrz, co ten hadiuka zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przeklęty!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztą kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

— Wsadziłem mu ryło do menażki — rzekł ciężko dysząc Iwan. — Dokończ go, bo muszę iść.

— Umyj menażkę — rzekłem do Bekera — i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem czworo noszy. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy, jak może: „czortowe wy diety, taj dywyś, ce lewa, a ce prawa, links, links”. Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od butów, pracują nasi chłopcy, „planują” ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatami, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idę na przelaj, zostawiając głębokie ślady.

— Tadek, co słyhać?

— A nic, Kijów zajęli.

— A czy to prawda?

— Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

— *Halt, halt, du, Warchauer!* — i za chwilę niespodziewanie po polsku: — Stój, stój!

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post”, karabin pochylił jak do szturmu. Jest bardzo podniecony. — Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

— Coś ty teraz mówił? o Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygocąc ze złości i wzburzenia wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczułem, jak ze mnie coś odplywa, ale trochę ochłonąłem.

— Przepraszam, pan post nie zrozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne.

— Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił — potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jakby chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

— Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

— Sto dziewiętnaście, sto dzie...

— Pokaż na ręce.

— Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

— Chodź bliżej.

— Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka”.

„Biały Wańka” parę dni temu wlaź na brzozę rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotłę. Za miotły można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węglem dogania mnie Rubin.

— Tadek, cóż ty zrobił? I co to będzie?

— A co ma być?

— Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyczeć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

— Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

— Ja wiem i ty wiesz, ale *sicher ist sicher*. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta. On się na pewno zgodzi? Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

— A to świetnie, powie się o i tym.

— Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

— Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą, daj swój, nic cię nie kosztował.

— Oj, Tadek, Tadek...

Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

— Kolejarz!

Biegnę na przelaj przez pole. Oczy kapy nabrały złowieszczonego wyrazu, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce kołyszą się miarowo, a palce nerwowo się kurczą:

— Coś handlował z Rubinem?

— Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

— Coo? — Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu.

Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu („To dzikie zwierzę” — przemknęło mi w myśli), nie spuszczać z niego oczu wypaliłem jednym tchem:

— Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapo rozprężyły się z wolna i opadły wzdłuż boków. Szczeka zwisła lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, niezdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

— Idź do roboty. Zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu.

W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuję, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Harmente, zeskakuje z roweru czerwony ze zdenerwowania:

— Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanyymi kijami? To jest czas pracy!

— Oni nie umieją chodzić!

— Jak nie umieją, to ich zabić! A wie pan, że znowu zginęła gęś?

— Czgo stoisz jak głupi pies? — wrzasnął kapo na mnie. — Andrej ma zrobić z nimi porządek. *Los!*

Poleciałem ścieżką.

— Andrej, konczaj ich! Kapo kazał!

Andrzej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrzej położył mu kij na gardło, stanął na kiju i zakółsał się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę jak kapo z esmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykuje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czapkę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę. Po chwili Rubin kiwa na mnie.

— Podziękuj panu postowi, że ci nie zrobi meldunku.

Rubin nie ma zegarka na rękę.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

— Camerade, camerade, ten esman to z obozu, prawda?

— Albo co?

— To dziś już naprawdę będzie wybiórka?

I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi do góry ręce:

— *Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!*

Blade niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem, wykoleił się na samej scheibie. Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkołysali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kolek, lora już, już wchodzi na szyny, nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

— Zbiórka! — drę się i gwizdzą z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drag, wysypujemy piasek z lory wprost na scheibę. I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na antreten. Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokół. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym

odejściem. Ale dla starych lagrowców rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Haneczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

Zaraz za esmanami nadszedł kapo i cherlak komandoführer.

— Rozstąpić się i podnieść ręce do góry — rzekł kapo.

Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esman jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciele, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny — jabłka, niewątpliwie z sadu.

— Skąd to masz?

Podnoszę głowę: „mój” post.

— Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

— Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłka, raz po raz podrywa się krótki ludzki wrzask: biją.

Nagle unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

— Otwórz — rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa.

— Patrz, kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął triumfująco do kapy:

— Jest, jest, a nie mówiłem!

Kapo zamachnął się kijem.

— Nie bij — rzekł wstrzymując mu rękę esman.

Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykulując bronią:

— Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrzelę. — Grek milczał. Esman podniósł pistolet. Spojrzałem na Iwana. Był zupełnie błydy. Spojrzenia nasze spotkały się. Zacisnął usta i wystąpił z szeregu. Podeszedł do esmana, zdjął czapkę i rzekł:

— To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciał go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszczał, twarz więźnia pokryła się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiał się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

— Zapisać numer i złożyć meldunek. Komando — odmarsz!

Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, nie podtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy przykryte gałęziami.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała blada i wyprostowana, z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nierwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

— Czuję się, jakbym zawinił w tej całej wybiórce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu nawet złe słowo ma moc stawania się.

— Nie przejmuj się — odrzekł Kazik — daj lepiej coś do tego pasztetu.

— Pomidorów nie masz?

— Nie co dzień świętego Jana.

Odsunąłem przygotowane kanapki.

— Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

— Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, tobym go zbił na marmoladę.

W tej chwili na krawędzi buksy wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zażenowane, mrugające

oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, włóż tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Włóż na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.

Złaząc z buksy trącił mnie ramieniem.

— Patrz — rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki i jak ślepiec próżno szukał dłonią deski, żeby wleźć na górę.

Proszę państwa do gazu

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już od-
wzienie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napel-
nionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie
trul wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko
bloki, odgródzone od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfaso-
wały” jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago:
upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień,
żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała
praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się
po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na
dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezyn-
fekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL — tam też od-
wyszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wy-
pędzono z bloków — właśnie kotłują się na „wizach”, drogach
i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przy-
jaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej
rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od
paru dni nie ma już transportów. Część Kanady zlikwidowano
i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych,
na Harmenze, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie
bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie,

przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztrosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*, jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda.

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwójną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbyś głupstw — usta otylego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył przetykając z wysiłkiem („poszło, cholera!”) — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, organisation z transportów,

tobyście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dali-
byśmy wam.

— Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy.
Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy
wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sa-
łatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający
potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego,
inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które
stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „*ver-
suchte Pferde*” — zarażone konie, należy odstawić tam
a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół
tysiąca ludzi. Gnieźdzą się na dolnych pryczach po ośmiu,
dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzieli-
nami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym
dole — rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty oddartej z ko-
ca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...),
zawodząc głośno i monotonna.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga
za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złazić. Niech się drze, prędzej
do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić
opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który
jest komunistą i rentierem. — Gdyby oni nie wierzyli w Boga
i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowia-
da: — Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby
chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właś-
nie wyżerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, od-
skoczyli muzułmani i rzucili się uciekając między buksy, do
budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wy-
szedł blokowy.

— Kanada! *Antreten!* Ale szybko! Transport przychodzi!

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę,

wrzasnął „*raus*” do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!* — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutilu” (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliarniami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlazłem z buksy.

— *Platz!* — wrzasnąłem przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*

— *Was ist los?*

— Chcesz iść z nami na rampę?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem — i wypchnął mnie z bloku.

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął, „*marsz, marsz*” i pobiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzono bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab!* — Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esman, z wielką tabliczką w rękę, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!* — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!* — odkrzyknięto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzie z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: nie zamieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębiamy się między grusze i jabłonie truppenlazarettu; wśród nieznanym, jakby z księżycy zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybudującej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linię wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął małeńki drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stopy szyn, podkłady kolejowe, zwaly desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwyczajny dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się! — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zapłatało się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, nie dojezione sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck* — spluwa na nich młody, wysoki post, o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydło — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego. — *Pass mal auf*, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz.

— *Schade*, szkoda.

— Ależ, *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel*?

— Sto. *Gemacht*?

— *Gemacht*.

Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholereę ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz,

ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie radę, i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*.

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami, jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwiękania.

— *Was wir arbeiten?* — pytają.

— Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?

— *Alles verstehen* — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjsć mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — *Sudetenquelle*, a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrzęsali prawice, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszcząły na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleń drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę

dalekiego kościółka, z której dzwoniono właśnie na spóźniony Anioł Pański.

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przeżalone kobiety, mężczyźni, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwyciły rozpaczliwie powietrze. Zaczerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Jawohl!* — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also loos!* Do pracy!

Szczęknęły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasno-

cie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga: Wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, niepokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i odporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrывa się z rąk, ściąga się palta, ko bietom wyrывa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten* — szczeka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. — Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gnie mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie przechodząc i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło: „Mamele!” — taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które padając otwierają się i wysypują barwne

tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stopy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynki, kielbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawrota i wrzasku kobiet oplakujących dzieci i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wprawdzie będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru rozciąga się w słońcu. Niez mordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesiąt, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w rękę; każde auto to kreska, jak odjedzie sześćdziesiąt aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*. Kreski pęcznieją w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko: „z Salonik”, „ze Strasburga”, „z Rotterdamu”. O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin”. Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin—Sosnowiec”. Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery: 131—132. Rozumie się tysiące, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak: 131—132.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu sześćdziesiąt, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt* — „Miasto Przestępców”.

Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung*, *Bewegung* — otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wnętrze.

— *Rein*. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz, jakbyś miał rzygać. *En avant*, pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozplywa się, miesza się olbrzymia, przezroczyta z drzewami nieruchomy-

mi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris*? — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wliwie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszony psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znow podchodzą wagony, znow ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować kłamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie wzniesając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojni esmani, świecąc srebrem na koł-

nierzach. Połyskują glansiem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpierzna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesła w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przyklepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójdą piechotą — na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z zauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie, co się da, nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: kópertry, bransolety, piercionki, kolie, brylanty...

— *Gib hier* — spokojnie mówi esman nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżaronym słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydlistwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwizduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan

z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wrywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściągając się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo! mammo!

⊥ Kobieta, weźże to dziecko na ręce!

⊥ Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pojedą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mammo, nie uciekaj!

— To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

— Ach, ty jebi twoju mat', blad', jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht*, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman stojący przy samochodzie. — *Gut, gut* Ruski.

— Mołczy! — warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parla ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła

badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, wutowane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nie-ludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie na postenkertę, nie wróci do tamtego życia.

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobniutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem. Zacisnęła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu się i mieszam się

w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włąkę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzezi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówki. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mazołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

— *Halt! halt!* — wrzeszczy z daleka esman. — Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotownie zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommandanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem.” Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony, wciąż rzezi: „*Ich will mit dem...*”

— Człowieku, uspokój siebie, ale! — woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu: *Heil Hitler!*

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałośnie: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiazdzisty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemicz-

ne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność. Krok w nią, i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzają uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

— Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.

— Nie.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie! Pomyśl, ja — od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów antreten, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!* Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotennie, piskliwie.

Duszając się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen!* — rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wylądować! — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem ręką trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławilo gardło. Mdłości zgmiotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójda do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, oglupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrzościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, klamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami,

marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kielbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec—Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

— *Und morgen die ganze Welt...* — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czoła komenda.

Usuwamy się im z drogi.

Śmierć powstańca

Obok rowu, za wąskim pasmem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że osiągalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe, o różowych żyłach końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zboczem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgle. Na skraju lasu stał post. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego, karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo, pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i owinąwszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz patrzył spod nasuniętej na uszy i czoło furażerki w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zboczu, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między niespodziewanie żywotną rzeczka a szosą przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory równając pługami ziemię rwaną przez bagry i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie, gwarno i tłoczno. Ludzie pchali lory, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dnie wanny kopaliśmy rów. Rów, przewidująco wykonany w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było

pod drzewami dojrzałych, strząśniętych przez wiatr śliwek, zaczął się podczas deszczów obsypywać, a nawet grozić całkowitym zawaleniem się, jako że do wodociągów ściany kazano nam kopać prosto, a nie — jak to się mówi — na sago, nie przewidziawszy, że Norwegowie, którym polecono w rowach układać rury na wodociąg, wymrą solidarnie co do jednego już po pierwszych dziesięciu kilometrach. Czym prędzej więc zabrano nas do noszenia szyn i wyciągania poplątanych prętów stalowych leżących, jak Bóg zdarzył, kupą na dworcu i zagnano na dno wanny poprawiać rów, który ciągnął się nieprzyzwoicie blisko pola buraczanego.

— Pomyślałbyś, taki rów, że niby nic nie znaczy — rzekłem do Romka, byłego dywersanta spod Radomia, od dwóch lat odrabiającego w obozach Niemcom to, co im w Polsce napsuł. Pracowaliśmy na spółkę od chwili założenia tego parszywego obozu na skraju małej łączki pod jednym z wirtemberskich wzgórz i doszliśmy w kopaniu rowów do niejkiej wprawy. On dziobał kilofem miękką ziemię na kaszkę, a ją wyrzucałem ją końcem łopaty na grzbiet nasypu. Kiedy on się kiwał, przyczepiony leniwie do kilofa, opierałem się o wilgotną, popękaną ścianę rowu lub siadałem na umiejętnie podłożonej łopacie. Kiedy ja się kiwałem, on przejmował moją funkcję podpierańca rowu. Z daleka wyglądało to tak, jakby w rowie był jeden człowiek, który pracuje wolno, ale za to gorliwie i bez odpoczynku.

— A bo co, że rów? — podtrzymał rozmowę Romek, kiwnąwszy się bez zapału na kilofie. Umiejętność prowadzenia rozmowy i przewlekania jej przez cały dzień była prawie tak samo ważna jak jedzenie. — Osypał się, i tyle. Jak go poprawimy, to pójdziemy dalej — mówił przedzielając rytmicznie słowa klapnięciami kilofa. — Aby nie do noszenia szyn albo podkładów, jak ci tam od powstania. Przy łopacie i kilofie ujdzie jeszcze wytrzymać. Ale jak chcesz coś powiedzieć, to mów od razu, a nie tak, na okrąg.

Popatrzył po horyzoncie. Miał niebieskie, jakby wypłowiałe oczy i dobroną, bardzo przychudzoną twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych.

— Nawet słońca nie widać — zauważył zmartwiony. — Jak myślisz będzie deszcz?

Skulił się pod ścianą we wnęce po przezornie oddziabanej glinie. Było tam sucho i jakby cieplej. Nad rowem szedł porywisty jesienny wiatr i pędził górą niespokojne, nabrzmiałe deszczem obłoki, ale w dole było zacisznie.

— Frajer deszcz — odparłem lekkomyślnie. — Albo to pierwszyna dla nas? A popatrz, rów, jakeśmy zaczęli go kopać, to było nas starych równo tysiąc ludzi. Chłop w chłop, wysiedzianych po nie byle jakich obozach. Co to niejedno już wiedzieli.

Machnąłem w milczeniu parę razy pustą łopatą i przytrzymałem osypujące się z nasypu grudy.

— Wykopaliliśmy rów, trochę słońce poświeciło, trochę deszcz popadał, trochę się rów osypał — i została nas połowa. — A z tych tam — wskazałem głową za zakręt rowu, gdzie pracowała reszta naszej grupy, ci tam od powstania — to nie wiem, czy i połowa żyje. Mówili, że truponosy dostali wczoraj po dwa bochenki chleba, bo wywieźli pięćdziesiąt trupów w skrzyni. A jeden Żyd to się utopił w błocie na środku obozu. Dla tegośmy wczoraj tak długo na apelu stali. U nas zupa była już zimna na bloku.

Były dywersant podniósł się z wnęki i pochwycił za kilof.

— Nie dwa, nie dwa bochenki — tylko każdy trupiarz dostał po pół bochenka i trochę margaryny w nagrodę. A wiesz, tych tam, jak ty mówisz, powstańców, to nie szkoda mi wcale. Ja im nie kazałem tutaj przyjeżdżać. Sami chcieli. Ochotnicy, pod koniec wojny dobrowolnie lager przyjechali budować, kraj uprzemysłowić — dodał zgryźliwie i zakończył przekleństwem.

— Pewnie już cały rów uprzątnełi, bo coś nie słyhać, żeby się kłócili o politykę. Musieli dalej odejść. Starają się od rana jak głupi. Myślą, że majster Batsch da któremu skórek od chleba.

— A jakże, da! Nie bój się, nasz Chorwat dobrze popatrzy, porachuje, a dopiero da ci, jakby to była kielbasa! Ma on swój system, umie podbechtać do pracy, niby nie bije, a skórkami mami. Umie dać szpilę, a ty, głupi pracuj. Kto chce zdechnąć, niech czeka na skórki. Ja tam wolę mniej zjeść, a nic nie robić.

— Narobi się taki jeden z drugim za cały bochenek, a zje

kawałek skórki — potwierdziłem skwapliwie. — Chyba pójdę po buraki. Zjadłoby się trochę, no nie? Akurat dobrze, bo majster na wieś poszedł.

— A pewnie, że dygaj. Twoja kolej teraz. Ja wczoraj przyniosłem i przedwczoraj. Ale uważaj na kapę, kręci się tam przy bagrze — ostrzegł Romek. — Przynieś ze dwa, może się coś skombinuje. Głupich nie brak. Tylko nie daj komu.

— Gdzieżby tam! Stary na pewno przyjdzie. On przecie chleba woli nie dojeść, a zieleniny nawpychać się musi, byle dużo. Czego on nie je! I mlecz, i dziki czosnek, i pietruszkę z łąki. Ja ci mówię, że on wykituje.

Wetknąłem uważnie łopatę w ziemię, żeby padając nie ubabrała się w błocie, i chyłkiem polazłem wzdłuż rowu między kałużami z ostatniego deszczu.

Rzecz polegała na tym, że trzeba było rwać buraki nie z pola leżącego pod nosem, lecz z drugiego, bliżej traktorów, wrzasku pchających naładowane ziemią wagony ludzi, nerwowego jak ryba na haczyku kapy, no i posta, któremu z nudów nadarza się czasem kogoś postrzelić. Za rwanie bowiem buraków groziły niedwuznaczne sankcje, cóż bo winni są spokojni wieśniacy z Wirtembergii, że zjechała na ich ziemię niespodzianie banda więźniów i rozłożyła się małymi lagerkami od Stuttgartu aż do Balingen, żeby z kamienia robić olej? Już i tak wycierpieli dosyć, poryto im paskudnie łąki, zajęto pastwiska pod urządzenia polowych fabryk, a żołnierze i majstrowie z Armii Pracy Todta grasują z upodobaniem po ogrodach i sadach, a jeszcze więcej po narzeczonych nieobecnych autochtonów, przebywających *zür Zeit* na froncie.

Za zakrętem rowu, w pewnym oddaleniu od nas, pracowała grupa starych panów z powstania warszawskiego, ubrana jednolicie, aczkolwiek z pewnymi indywidualnymi odchyleniami, w pasiaki. Jeden wpuścił marynarkę w spodnie, innemu wystawała spod marynarki torba cementowa, świetna ochrona od deszczu i wiatru, inny jeszcze posłużył się papą, którą nałożył na siebie, wyciąwszy otwory na głowę i ręce.

— Panowie, przepuście mnie, szczęście wam Boże w pracy — rzekłem układnie. — A wy, powstaniec, moglibyście zdjąć te pape z siebie. Nie widzieliście wczoraj, jak esman Żyda zatłukł za słomę, co ją znalazł u niego?

— A czy ja jestem Żyd? Żydów to tam mogą tłuc, a nie Aryjczyków. Zresztą martw się pan o siebie. Ja też, jakbym miał trzy koszule, to byłbym taki mądry i chodził bez papy.

— Panie, pan idzie po buraki? — zapytał mnie ten od utyłałych, niegdyś eleganckich trzewików.

— No? A jak po buraki, to co?

— Przyniósłbyś pan jednego dla nas.

— Burak szkodzi na żołądek, proszę pana. Dostanie pan durchfallu i wykituje pan w trymiga. Nie lepiej to przeżyć?

— Kiedy się, proszę pana, jeść chce. A jak człowiek głodny, to mu się nie bardzo chce żyć — rzekł rozsądnie stary.

Przyjrzałem się dokładnie staremu muzułmanowi. Marynarkę przepasał grubym sztukowanym sznurem i wypchał się grubo słomą, która wystawała spod kusego kołnierza postawionego sztorcem, jakby ten kawałek nasiąkniętego wilgocią płótna z pokrzywy mógł go ogrzać. Nie wpadło mu natomiast na myśl wpuścić spodnie w owe eleganckie niegdyś trzewiki, jeszcze warszawskie. Były one grubo oblepione błotem, dawnym, zeschniętym, i gęstą mazią nowo nabytej gliny.

— Ej, stary, stary — rzekłem z pogardą — szanować się nie umiecie. Trzeba się trochę ruszyć koło siebie, trochę się ochędożyć, przecie obóz to nie pensjonat, gdzie wam wszystko podadzą, to nie u mamy w domu. Jak się otrzecie z błota i poruszacie się niemnożko, to wam od razu więcej zdrowia przybędzie, niż gdybyście pajdkę chleba zjedli. A jak będziecie tylko buraki jeść i jeszcze co dzień papierosa kupować za pół miski zupy, to myślicie, że co? że wytrzymacie? Wwala w skrzynię i wywiozą, i tyle będzie z was. Już i tak wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

— Jakbyś pan zjadł tylko liter zupki na wodzie i pajdkę chleba, tobyś też tak wyglądał jak my — przerwał potok mej wymowy ten w nakryciu z papy.

— Albo ja więcej jem od was czy co? — oburzyłem się szczerze. — Tylko nie jestem zwyczajony do frykasów jak wy z Warszawy. I szanować się umiem.

— A kto wczoraj menażkę zupy z naszego bloku wyniósł, jak nie ty? Może powiesz nieprawda?

— Sprzedałem wczoraj miotłę blokowemu z waszego bloku i za to dał mi miskę zupy. Pracowaliśmy wszyscy koło wikliny.

Czy ja wam bronilem robić miotły? Wyście sobie wygodnie w południe leżeli, jak ja witki plotłem.

— Tee, te, ja też jestem taki mądry. Albo ode mnie blokowy weźmie? Woli dać zupy za darmo któremuś z was, z Oświęcimia.

— Jak posiedzisz parę latek jak my wszyscy, to i tobie wszędzie dadzą drugą miskę zupy — odpowiadam rozdrażniony i biegnę do buraków, klnąc siebie za niepotrzebną zwłokę.

Jakieś sto metrów dalej rów skręcał ku czarnemu kwadratowi ziemi tarmoszonej przez traktory i bagry. Tuż przed zakrętem nasyp nad rowem był usunięty, a w ścianie rowu wykopano dwie płytkie dziury, w których stopa znajdowała oparcie jak ułał. Wsadziwszy nogę w zagłębienie i chwyciwszy się palcami krawędzi rowu wydzwignąłem się z wysiłkiem ponad rów i nie zważając, że cała marynarka obłazi mi błotem, popelzłem ostrożnie między buraki. Tutaj, zakryty po trosze buraczanymi liśćmi, poczułem się nieco raźniej. Na oko wybrałem najgrubszą bulwę, bez pośpiechu poobrywałem liście i wyważyłem ją z ziemi. Oglądałem się za rzepą, ale prócz pękatych, białoróżowych buraczanych łbów nic innego nie umiałem dostrzec. Zdobyłem tedy jeszcze jeden burak, wsadziłem oba pod marynarkę i trzymając w ręku parę liści jako osłonę przed wzrokiem kapy albo posta począłem wycofywać się do rowu. Wreszcie wsunąłem się między splekane, wilgotne ściany i odetchnąłem z ulgą.

Oczyściłem marynarkę i spodnie wyjętą z kieszeni drewnianą łopatką, oskrobałem bardzo starannie ręce i buty i przytrzymując buraki pod połami marynarki szybko podyrdałem do swoich. Byłem trochę podniecony i oddychałem jak zgoniony pies.

— Panie, daj pan jednego, daj pan kawałek — namawiali mnie powstańcy, kiedy przechodziłem koło nich.

— Ludzie, zostawcie mnie w spokoju! — zawołałem prawie że z rozpaczą, przyciskając do brzucha obrzydliwie wilgotne buraczane łby. — A idźcie sobie urwać! Tam rosną buraki dla wszystkich! Co to ja jeden jestem?

— Kiedy panu łatwiej, bo pan jest młody! — rzekł ten od nakrycia z papy.

— To zdychajcie, jak jesteście starzy i boicie się. Jakbym ja się bał, toby już dawno trawa po mnie rosła!

— To się udław, ty sukinsynu! — krzyknął za mną nieprzyjaźnie pan w nakryciu z papy.

Przecisnąłem się do byłego dywersanta. Romek kucnął sobie w rowie trzymając się rękojeści kilofa.

— I tak nikt nie patrzy, to po co się starać? — powiedział bardzo rozumnie.

Wyciągnąłem buraki spod marynarki. Dywersant dziabnął kilofem w dno rowu, wykopał mały dołek, wyjął z zakamarków odzienia rzecz nieocenioną: scyzoryk, i obrał starannie buraki, wrzucając łupiny do dołka.

— Rozumiesz, raz poszliśmy robić jednego sołtysa, niedaleko od Radomia — mówił wycinając z buraków żyłaste, nie nadające się na wybredniejsze podniebienie części. — Jezyny czy Dzierżyny, jakoś tak się ta wioska nazywała. Obstawiliśmy chałupę na olaboga i Wilk — we wszystkich opowiadaniach Romka Wilk grał pierwsze skrzypce — wlaź przez okno do chałupy, czekamy, aż się załatwi. Ale on nic, tylko mnie woła. Włażę, rozumiesz, i ja, rozglądam się, bo trochę ciemno, leży sołtys z babą w łóżku i nie chce wyjść. „Chodź na przesłuchanie” — mówi Wilk. „Ja go nie puszczę, przesłuchajta go w łóżku” — powiada baba. A wójt milczy ze strachu. Wal, mówię, w poduszkę, trudno, czego się nie robi dla Ojczyzny. Wywaliliśmy na spółkę w chłopą, aż pierze pod sufit poleciało. Myślisz, baba w krzyk za nim? Akurat! „Takie owakie — powiada — partyzanty jedne, poduszkę i pierzynę mi do cna ino zmarnowali!”

— Bujda wszystko — zawyrokowałem zaklepując łopatą dołek z obierkami. — Ale co ma sołtys do buraków?

— A ma, i to bardzo dużo — dywersant podał mi pokrojony na części burak, który natychmiast schowałem do kieszeni — bo w spiżarni u starego tośmy taki — zatoczył ręką nieprawdopodobne koło — wieniec kielbasy zafasowali.

— A jakiej kielbasy, proszę pana? Bo ja się trochę na wędlinach znam — rzekł niespodziewanie stary w zabłoconych, niegdyś eleganckich trzewikach. Podszedł do nas po cichu i oparłszy się na łopacie, z nabożeństwem wysłuchiwał historyjki dywersanta, z nie mniejszym nabożeństwem śledząc krajanie buraków.

— Jakiej kielbasy? — Wiadomo, że nie serdelowej. Zwykłej

wiejskiej kielbasy z czosnkiem — odrzekł opryskliwie Romek. — Na pewno lepsza od tych buraków. To sobie możecie wyobrazić!

Podał mi plasterzek buraka i odkroił sobie drugi. Miały nudną, piekącą słodycz sacharyny i rozchodziło się od nich nieprzyjemne zimno po ciele. Dlatego jadło się je ostrożnie i małymi dawkami.

— Panie, daj pan kawałek, nie bądź pan taki.

Człowiek w trzewikach ze starczym uporem tkwił wciąż nad nami.

— Trzeba było urwać sobie — rzekł Romek. — Chcielibyście tylko, żeby ktoś za was tyłka nadstawiał jak w Warszawie, prawda? Sami to się boicie?

— Jakże ja mogłem walczyć w Warszawie, jak mnie zaraz Niemcy wywieźli?

— Idźcie, idźcie, stary, do roboty i starajcie się dalej, to wam majster Batsch może skórek od chleba da — rzekłem drwiąco, a kiedy nie odchodził, nie mogąc oderwać oczu od chrupanych przez nas nonszalancko plasterków, dodałem zniecierpliwiony: — Słuchajcie no, stary, buraki szkodzą na żołądek. Za dużo w nich wody. A wy zjadacie całe główki. Nogi was nie bołą?

— Gdzie tam, żeby bolały, tylko mi trochę opuchły — rzekł z ożywieniem stary, podciągając do góry zabłocone nogawki pasiaka. Z utyłanych w błocie, niegdyś eleganckich trzewików, z fantastycznie poskręcanych szmat i ścierek wyłaziły obrzmiałe, chorobliwie białe, prawie sine łydki.

Pochyliłem się i nacisnąłem palcem skórę. Dywersant gmerał obojętnie kilofem w ziemi. Nie imponowały mu byle jakie opuchnięte nogi.

— Widzicie, stary, palec włazi w ciało jak w wymieszane ciasto. A wiecie dlaczego? Woda, nic, tylko woda. Jak dojdzie od nóg do serca, to wtedy kaput. Nie można nic pić, nawet kawy. I zieleniny, ma się rozumieć, także nie jeść. A wy buraków chcecie?

Stary krytycznie spojrział na łydkę, a potem podniósł na mnie oczy bez wyrazu.

— Dam wam kawałek chleba, ale za całego buraka — powiedział bezdźwięcznie i wyciągnął z kieszeni omotany

w brudną szmatę chleb, tak z pół pajdki rannej, jak błyskawicznie i fachowo ocenilem.

Dywiersant oparł się na kilofie, a drugą ręką chwycił się pod bok.

— Widzicie, stary, zawszeście jednakowi. Co dzień z wami to samo. Trzeba było od razu wyciągnąć chleb, a potem opowiadać dyrdymałki. Że też wy od rana umiecie dotrzymać — dodał z mieszaniną pogardy, uznania i zazdrości.

— Ano, jak trzeba. Takim burakiem to człek przynajmniej kiszki napcha. Dajcie prędzej, bo do roboty trza. Gadamy i gadamy, a tam inni za mnie kopią.

— Chleba dajecie za paznokieć, a buraka to chcecie za całą rękę — rzekł dla zasady Romek. — Ale niech tam już będzie, żebyście nie marudzili.

Chwycił chleb, położył go we wnęce, następnie wyjąwszy z kieszeni kawałki buraka poskładał je do kupy, aby unaocznić, że kantu nie ma i że to rzeczywiście cały, nie nadkrojony burak, i wręczył je staremu, który zebrawszy kawałki buraka w podolek odszedł w pośpiechu za zakręt rowu, ciągnąc za sobą łopatę.

Wtedy Romek sięgnął do wnęki, wyjął chleb, podzielił go sprawiedliwie na dwie równiutkie części i podał mi jedną. Poczęliśmy obaj żuć, uważnie mieszając chleb ze śliną i połykając bez pośpiechu. Wreszcie Romek wyciągnął z kieszeni dwie przyduszone, zwiędłe śliwki. Z chytrym uśmiechem rzucił mi jedną. Złapałem ją w powietrzu.

— Trzeba mieć, uważasz, cierpliwość i umieć donosić żarcie do czasu. Znalazłem śliwki, jak chodziliśmy po narzędzia rano do budy. Żebym to ja tak chleb umiał dotrzymać... Ale ty byś od razu zjadł.

— Naturalnie, że bym zjadł — odpowiadam zgodnie. Znow bez porozumienia wróciliśmy do dawnego systemu pracy. On kiwał się na kilofie, krusząc resztki grud upadłych z nasypu, a ja podpierałem wnękę, w której wydawało się nieco cieplej niż w gołym rowie, może dlatego że nad rowem szedł wiatr, a tu było trochę ziemi nad głową niby dach.

— Wiesz, jak w Oświęcimiu dostawałem paczki, to mleko skondensowane od razu wypijałem — mówię w rozmarzeniu. — Nigdy nie umiałem podzielić. A tutaj porcje także od razu zja-

dam. Widziałeś mnie kiedy, żebym miał chleb przy sobie? Raz-dwa zjeść, troszkę kawy popić, ale niedużo, i przestać cały dzień przy łopacie. Grunt to nie narobić się.

— Najlepszy system to nie nosić jedzenia w kieszeni. Co w żołądku, tego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali, ani na podatki nie wezmą. Taki, co dzieli, gmera, mamrze się z jedzeniem — prędko zdechnie. To żydowski system.

— I warszawski — dodałem myśląc o odbytej tylko co transakcji.

— I warszawski — zgodził się były dywersant.

Wbił kilof w ziemię i oparł się o ścianę rowu. Rów był wąski, ale nieproporcjonalnie głęboki. Wilgotna ziemia pachniała trupim zapachem gnijącej trawy. Z jednej strony rowu wznosił się nasyp, za nasypem szło pole buraków, a dalej traktory, łańcuch wart i las. Z drugiej strony była łąka, na której gdzieś rosyły dzikie śliwy. Śliwy dochodziły aż do wsi, leżącej zupełnie w dole, poniżej dna wanny. Od nas widać było czub kościoła, który wznosił się w środku wsi nad wodospadem wezbranej w jesieni rzeczki, oraz czerwone dachy domów schodzących coraz niżej. Dalej wspinał się po stoku wzgórza młody świerkowy las. Za lasem leżał nasz mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, nikał we wsi i wypływał wraz ze śliwami.

Z daleka, przerzynając na ukos łąkę, schodził z drogi majster, odcinając się od mokrej zieleni trawy jaskrawą barwą munduru Armii Pracy Todta. Był to wielki specjalista od instalacji wodociągowych, noszenia szyn i załadowywania worków z cementem oraz świetny, nawet przez oświecimiaków nie dościgniony, organizator wszelkiego jedzenia po okolicznych wsiach. O swoich ludzi, a miał nas dwudziestu, dbał. Oto zbierał codziennie od swoich kolegów skórki od chleba i rozdawał je tym, którzy najgorliwiej pracowali.

Chwyciłem łopatę do rąk i począłem z energią wyrzucać okruszyny ziemi. Były dywersant wziął kilof i odsunawszy się ode mnie o dobre parę metrów, żeby na kupie nie stać, podniósł kilof wysoko ponad brzegami rowu, pozwalając mu w rowie opadać własnym ciężarem.

— Zacząłeś coś mówić o rowie przedtem, zdaje się? — za-

gadnął, gdy milczenie przeciągało się niebezpiecznie. Należało rozmawiać cały dzień, wtedy człowiek tracił poczucie czasu i nie miał okazji do snucia destruktywnych marzeń o jedzeniu. — Pogadajże coś! Jak to było? — i znów machnął kilofem dbając usilnie, aby błysnąć nim nad rowem.

— Bo to, widzisz, tak się gmera, kopie Niemcowi na pożytek, raz na Śląsku, gdzieś pod Beskidami, raz w Wirtembergu, to znów na granicy szwajcarskiej, coraz to któryś z kumplów umrze, to znów nowych przygnają, i tak, bracie, w kółko. I końca nie widać. A jak przyjdzie zima...

— Nie gadaj. Przyłóż ucho do ściany, a posłyszysz, jak ziemia huczy od artylerii. Kują w nią tam na zachodzie, kują...

— Już od miesiąca tak kują. Przez ten czas u nas wymarło trochę ludzi, nazwoziliśmy wapna, cegły, cementu, szyn, żelaza i czego tam jeszcze, pokopaliśmy rowy, doły, zbudowaliśmy kolejki — i co? Coraz głodniej i zimniej. I coraz częściej pada deszcz. Jeszcze się człowiek jakoś trzymał nadzieją, że wróci, ale teraz — do kogo? Może też gdzieś tak dołki kopią, jak te nasze powstańcy. Ale nawet gdyby nie, to myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył? Co tu mówić, ja tam od rana myślę o jedzeniu. I to nie o jakichś tam wspaniałościach, co to się w powieściach czyta. Ale tak do syta chleba i grubo masła na chleb.

— Ja tam nie myślę o tym, co będzie — rzekł ostro dywersant — grunt, aby dzisiaj przeżyć. Chcę wrócić do żony, do dziecka, już się dosyć nawojowałem po świecie. Na pewno będzie ci lepiej niż teraz, nie? A może chciałbyś już tak do końca życia — i zaśmiał się urągliwie.

— Machaj, machaj kilofem — rzekłem ostrzegawczo — majster stoi nad rowem, nie widzisz?

Udając, że go nie dostrzegamy, pracowaliśmy gorliwie, zatopieni na niby w rozmowie. Wywalałem pełne, uczciwe łopaty aż na sam czub nasypu, postępując z wysiłku. Majster Batsch postął chwilę nad nami, założywszy ręce do tyłu, popatrzył jakby z niezmiernej wysokości i poszedł powoli nad rowem, błyszcząc czernią wysokich butów. Brzeg żołnierskiego płaszcza miał ordynarnie zabłocony.

— Kapo, kapo — krzyknął do mnie, stanąwszy nad grupą powstańców — chodź no tutaj! Dlaczego ten człowiek leży na ziemi? Dlaczego on nie pracuje?

Majstrowie nazywali kapami wszystkich, którzy umieli po niemiecku. Śmieszyło to bardzo starych oświeceniaków, a nawet, prawdę powiedziawszy, gorszyło, co kapo bowiem, to kapo.

Podbiegłem rowem. Za zakrętem, na dnie rowu, siedział skulony stary, ten od zabloconych, a niegdyś eleganckich trzewików, i jęczał ściskając rękoma brzuch. Majster kucnął nad rowem, troskliwie, ale z daleka zaglądając więźniowi w twarz.

— Chory? — zapytał.

W rękę trzymał spory pakuneczek owinięty w gazetę.

Na przeraźliwie bladej twarzy starego powstańca pojawiły się rzadkie krople potu. Oczy miał przymknięte. Powieki drżały mu raz po raz. Musiało mu być gorąco, bo rozpiął kołnierz. Słoma wylazła mu zza pazuchy i sterczała przed twarzą.

— Cóż to, stary, buraki wam, widać, zaszkodziły? — zapytałem ze współczuciem.

Jego towarzysz z kilofem, ten od nakrycia z papy, obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i rzekł niezdarnie do majstra Batscha:

— *Krank*. On jest chory, chory — powtórzył z naciskiem w nadziei, że majster zrozumie po polsku. — *Hunger, verstehen?*

— No tak, to zupełnie jasne — odpowiedziałem pośpiesznie — nażarł się buraków i teraz dostał boleści w brzuchu. Dopiero co przyjechał do obozu, to nie wie, że zielenizna szkodzi. Na żarłoczność i głód trudno poradzić, proszę pana majstra.

— Buraki? Z tamtego pola, co? O, to bardzo niedobrze. *Klaunen*, prawda? — majster Batsch uczynił dłonią międzynarodowy ruch chowania ukradkiem do kieszeni.

— On nie może tego potrafić! — rzekłem z pogardliwym lekceważeniem. — On kupuje co dzień buraki za chleb.

Majster Batsch pokiwał głową w zrozumieniu, przyglądając się smutnie powstańcowi znad rowu, jakby z krawędzi innego świata. Towarzysz starego, ten od papy, ruszył się niespokojnie.

— Powiedz mu pan, może tego człowieka do lagru zaniosą, przecież on jest chory, ciężko chory.

— Ciężko chory? — rzekłem ze zdziwieniem. — To pan jeszcze mało rzeczy widział na świecie. Ma czas do wieczora. Co pan, dziecko, nie wiesz pan, że żaden post nie pójdzie teraz stąd? Coś pan, pierwszy dzień na komandzie? I zdejmij pan tę papę, bo jeszcze pana kto urządzi. Mówilem już raz. Znow później powiecie, że my niedobrzy, że nie ostrzegamy.

I odszedłem do swojej łopaty. Dywersant, korzystając z tego, że majster był zajęty czym innym, kucnął spokojnie we wnęce, opierając się z wprawą na kilofie. Gdy chwyciłem za łopatę wyłaził z wnęki i stanął także w pozycji roboczej.

— Stary, prawda? — zagadnął bez zainteresowania.

— Nie pociągnie nawet do wieczora — odpowiedziałem. — Już niejedną setkę takich widziałem. Spuchłe nogi, durchfall, a teraz znow się obżarł burakami. Czarno widzę przed nim.

— Znow jeden mniej... Ja mu nie kazałem przyjeżdżać. Mogli bronić tej Warszawy, jak już zaczęli, nie?

— Pewnie, że mogli. Przecie jak oni jechali do Oświęcimia, to ich nikt nie pilnował. Myśleli, że na roboty. Dorwali się teraz do robót jak chłop do wody sodowej.

Ze złości wywaliłem całą grudę ziemi na nasyp, aż ugięła się rękojęść łopaty.

— Co się będziesz martwił za tamtego. Jak kto chce Niemcowi służyć, to dobrze mu tak — rzekł dywersant. — W Oświęcimiu krzyczeli, że oni nie są polityczni, i co trzeci chwalił się, że ma wujka volksdeutscha, tu znow im źle, bo jeść mało dają. Przyjechali sześć tygodni temu i już chcieliby ze trzy miski zupy dostać!

— Dużoś zjadł dzisiaj więcej niż porcja? — zapytałem zainteresowany. Jedzenie było tematem w chwilach szczególniejszych wzruszeń.

— Co tam zjadłem — obruszył się był dywersant spod Radomia. — Wczoraj to zjadłem. Z rana porcja chleba i co tam było do chleba?

— Margaryna i ser — podpowiedziałem.

— Margaryna i ser. Przez cały dzień nic. Pod wieczór tośmy sprzedali buraka Żydom. Było pół pajdki na dwóch.

A wieczorem jeszcze zupa za twoją miotłą. A potem dostałem jeszcze zupy na kuchni, bo odnosiłem kotły.

— Nie mogłeś przyjść po mnie? — zapytałem z żalem.

— Nie, bo musiałem zjeść w kuchni. A dziś — ciągnął dalej — pajdka rano, margaryna na trzydziestu kostka, potem parę śliwek, potem znów ten chleb i trochę buraka. Żeby tak jeszcze...

Urwał i chwycił za kilof. Nad nami stał milczący majster Batsch. Popatrzył z sympatią na naszą zgodę i umiejętną pracę i rzucił między nas pakunczek owinięty w gazetę. Pod naszymi nogami rozsypały się skórki chleba.

— Właśnie o tym myślałem — rzekł energicznie Romek.

I z rozmachem uniósł kilof nad głowę, dbając usilnie, aby błysnąć nim ponad krawędzią rowu, podczas gdy ja skwapliwie pochylałem się ku ziemi.

Bitwa pod Grunwaldem

Po szerokim, zalanym słońcem dziedzińcu posesmańskich koszar, jak po dnie głębokiej studni wkopanej w kamienne ściany budynków, głucho, zacięcie wbijając w beton takt szedł Batalion i śpiewał. Ręce jego, odziane w zielone rękawy odziedziczonych po żołnierzach z SS kurtek, podnosiły się energicznie do pasa i opadały ku ziemi w gniewnym, jednolitym zamachu, jakby to maszerował nie Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i ochryply śpiewem jeden wielokrotniony człowiek. Tylko pstrokate nogi Batalionu, nakrapiane gdzieniegdzie jasną plamą wojłokowych chodaków, mąciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zielonych gąsienic o przegowanym, sfałdowanym grzbiecie i nieruchomym tułowiu, obszedł sztywno dziedziniec, przywalony drgającym słupem słońca; minął kolumnę roślących ciężarówek amerykańskich, które wytrząsały ze swego wnętrza, jak z worka z gałganami, jaskrawą zawartość ludzi i bagażu; przybił gorliwiej beton pod wysmukłym, świeżo malowanym masztem, ponieważ wiatr zarzucał nań jak na wędkę barwną szmatę narodową; zelżał pod kupą bali, drew ociekających igliwem młodych sosen, ławek i krzesel przygotowanych na wieczorne ognisko; skręcił ostro pod oszkloną niegdyś halą, w której odbywały się do niedawna

patriotyczne wiece esesmańskie; zachrupotał wielonożnie po szkle z wybitych dokładnie szyb; urwał w pół słowa śpiew i wsunął się jak w tunel w mroczną czelusć hali, odgradzoną od placu ostrym, słonecznym blaskiem i mięsistą, szerniałą zielenią świeżo ciętych gałęzi. Oślepiająco kredowy wąż kurzu, który włókł się za Batalionem, zwinął się u wejścia do hali, zszarzał, przypadł do ziemi i rozdęty przypadkowym podmuchem wiatru napęczniał, pękł, wzbił się w powietrze i rozpląnął się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku na wąskim, twardym parapecie okna na trzecim piętrze jednej ze ścian studni i wygrzewając się nago na słońcu jak sparszywiały pies — przeciągnąłem się sennie, ziewnąłem z uznaniem i odłożyłem na bok zorganizowaną w którymś z pokojów oficerskich książkę, opowieść o bohaterских, wesołych i chwalebnych przygodach Dyla Sowizdrzała i Lamma Pasibrzucha.

— Panowie żołnierze — powiedziałem odwracając się do sali, żeby z kolei wystawić na słońce plecy. — Batalion pomaszerował do kościoła na mszę arcybiskupią. Dobrze spełniliście swój obowiązek wobec Ojczyzny, która wszędzie na świecie jest tam, gdzie wy jesteście. Wolno spać dalej.

Sala po prostu, po żołniersku śmierdziała zastarzałym, słonym potem nie mytych genitalii. Pod nie bielonymi ścianami, zdobnymi w bogoojczyźniane, hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi żelaznych, piętrowych łóżek; przez środek szły z gruba ciosane stoły, a pod ich nogami wałęsało się parę taboretów bez oparcia i błąkała się bezradna jak zagubione dziecko emaliowana spluwaczka. W powietrzu bzykały cienko wypasione, leniwe muchy i ciężko oddychali rozespiani ludzie.

— A jak maszerowali? Jak wojsko? Bo na ćwiczeniach łaża jak muzułman po błocie — odezwał się podchorąży Kolka, który spał przy ścianie od drzwi.

Olbrzymi i żyłasty, nie mieścił się w skąpym łóżku. Choć z okazji rozdziału niemieckich marynarek pokłócił się z oficerami i postanowił bojkotować wojsko, nie zrzucił nigdy sukiennego munduru; leżał w nim cały dzień na łóżku, dusił się od gorąca i bił podkutymi butami o żelazną poręcz, sypiąc za każdym poruszeniem fury słomy z przegniłego siennika na dolne łóżko, barłóg, na którym sypiałem. Krostowatą twarz

zwracał nieodmiennie w stronę okna i patrząc bezmyślnie na wieloznaczny parapet łączywie wsłuchiwał się w śpiew i tupot Batalionu.

— Polska piechota maszeruje dobrze, gdy ją polscy prowadzą oficerowie ku chwale Ojczyzny — wykrzyknąłem zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały mi się tak, jakby je kto skrobał rozpalonymi szpilkami. — Przez sześć lat w lagrze piątkami lazili, teraz odpoczęli dwa miesiące i znów łażą, chwala Bogu i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast kapów — oficerowie na czele. Uczyć maszerować to potrafią, ale żeby kucharze żarcia z kuchni dla Żydówek nie wynosili, to nie — dodałem patrząc obojętnie w przestrzeń.

— To pan do mnie kij przytykasz, jeżeli dobrze zrozumiałem — warknął gburowato chorąży, który czytał niemiecką książkę o Katyniu, i zdjawszy rogowe okulary z nosa zamrugał ku mnie zaspanymi oczyma krótkowidza. Uporczywie chodził w obcisłych, czyściutkich slipach, świecąc muskularnymi węzłami ciała. Od stóp do głowy pokryty był przyblakłymi wzorkami tatuażu, jak zakurzony gliniany talerzyk. Na prawym udzie pięła się ku pachwinie gruba, krzywo wyrysowana strzała, a czerwony napis wskazywał nieomylnie: „Tylko dla pań.”

— Jak kto ma dyżur w kuchni, to niech pilnuje, żeby nie kradli. Patrzy chorąży, czy kucharz kraść zdąży dla Żydówki w cięży — rzucił od drzwi Stefan, który uczył się angielskiego i szeptem powtarzał słówka. Cisnął książkę na stół i bijąc buciorami o kamień podłogi podszedł do okna. — Znowu sukiny syny gotują na węglu — rzekł wysadziwszy głowę za okno. — Jak mają kuchnię elektryczną, kotły i wszystko, co tam im trzeba dla nas, to co gotują w kuchence? Jasne, że obiad dla oficerów. Niby wszyscy męczennicy z obozu, bracia, koledzy, ale do maszerowania na mszę, a nie do garnka. A jak ci się podoba taki kontroler, co o tym wie i książeczki czyta z obrazkami? Jakby wlaź w tylek Pułkownikowi, toby nie wylaź, aż dopiero z Podporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym śmiechem. Chorąży poderwał się na łóżku, uderzył głową o ostry kant górnego, zaklął ordynarnie na temat płciowy, poglądził się po rzadkiej i sztywniej siwiznie i rzekł ze wstrętem:

— Nie czepiaj się mnie ty, wyskrobku bolszewicki, póki się ciebie nie czepiam. A jak ci się nie podoba co, to won z wojska. — Sutki piersiowe, ozdobione parą wytatuowanych uszu i sinymi kropkami imitującymi oczy, zadrgały mu spazmatycznie jak pyszczek zajączka. — Kradną, kradną! Nie szczekaj, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szczeka, ale złapie i gryzie.

— Właśnie, właśnie, gryź pan, panie chorąży. Pan jesteś psem od łapania. Pana trzyma Pułkownik na smyczy. — Hau, hau — zaszczekał chrypliwie Stefan i zmrużył złośliwie małeńkie, wypukłe oczki. Zza wykrzywionych nerwowo warg zaświeciły zęby, równe i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stolów wyprężony, jakby był przywiązany do budy.

Chorąży powoli wstał z łóżka. Podchorążak Kolka poruszył się z zainteresowaniem i wyjął pięść spod głowy. Siennik zachrzącał i słoma posypała się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z dezaprobatą brwi.

Z dziedzińca zacharczała odjeżdżająca ciężarówka. Doleciały nagle strzępy jazgotliwego gwaru i umilkły, jak nożem uciął.

Jednocześnie zaś chory Cygan, którego omal nie utłukłem w walce o lepsze miejsce w wagonie podczas transportu do Dachau, poruszony nagłą ciszą, podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

— O, ludzie, ludzie niespokojni, znowu się wam bić zachciewa — zaskomlił pociągając płaczkliwie nosem. — Mało wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz Polak, nasz brat, zawsze głupi. W łyżce wody chce utopić brata. — I przytknął siną, wychudzoną twarz do poduszki w czerwone maki, którą przyniósł z nocnej rajzy po bauerach. Cierpiał od kilku dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. Naćpał się nie gotowanego mięsa baraniego. Leżał nieruchomo, cierpliwym jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpital z małego kacetu Dautmergen.

Chorąży sztywno usiadł na łóżku. Podwinął pedantycznie wystający róg prześcieradła, jedyne zresztą w tej sali. Przebierał nerwowo palcami u nóg. Chwycił książkę, przewrócił z szelestem parę kartek i tępo wpatrywał się w fotografie grobów w Katyniu.

„Nie będzie awantury” — pomyślałem rozczarowany i wychyliłem się przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na wąskich pasach zielców, między rozwalonymi stertami gnijących śmieci, które wonią zarażały cały dziedziniec, pełzały w górę anemiczne drzewka klonów i szczelnie krzewił się tuż nad betonem kwitnący czerwono żywopłot. Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem, w wielu szeregach bliźniaczych okien zwisały ze sznurów strzępy różnobarwnej bielizny i kręciły się na szpagatach świeżo malowane drewniane kufferki, wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam gdzie mieszkali prominenci, siedł rząd weneckich, równo oszklonych okien, dołem tonący w soczystym cieniu, a górą — w słońcu jak w złotej farbce. Z parteru, z pięter, gdzieś aż spod strychu, darły się chrapliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żołnierze, ciągnęły po autostradzie kolumny aut, ciekł nieustannie wąski strumyczek rowerów, barwne letnie sukienki migwały wśród bujnych, mocno osadzonych w ziemi platanów.

Tam właśnie był świat, do którego puszczano za dobrego marsza, za karny meldunek, za sprzątnięcie korytarza, za lojalność, za niezłomność, a także za Ojczyznę.

A w środkowym skrzydle budynku, na drugim piętrze, tam gdzie były kuchnie Zgrupowania Wojskowego Allach, z malej, zardzewiałej na brąz rury wystawionej nonszalancko przez łufcik — snuł się cichutko niebieski, delikatny dymek i drżąc cieniutką smużką rozpraszał się ukradkiem w powietrzu.

— Ładnie jest, bracia, na świecie — westchnąłem z udanym smętem — ale cóż, człowieku: siedzisz zamknięty jak za Niemca, przepustki ci na świat nie dadzą, bo nie umiesz się lizać, przez dziurę w murze nie wyjdiesz, bo ustrzelą, wiadomo — häftling! A jak siedzieć? Jak komu syn barana przyniesie albo Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć. A ty? Siedź, jak głodno i do domu daleko. Żeby chociaż nie kradli. Byłoby źlej, że wszystkim jednakowa dola... Ale do czasu, do czasu...

Przez cały czas patrzyłem spod zmrużonych rzęs na chorążego. Chorąży poruszył się niespokojnie na łóżku, usta drgnęły

mu złowrogo. Ale nie powiedział nic. Wyciągnął z szafki mundur i zaczął się ubierać sapiąc z lekka przez nos. Zaciśnął wargi i patrzył w ziemię.

— Pan chorąży pewnie na mszę grunwaldzką? — zapytał obojętnie Kolka z drugiego końca sali.

— Nie, panie podchorąży. Pójdę na kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znajdę! — mruknął złowieszczo przez zaciśnięte zęby.

— Znajdziesz, panie chorąży, znajdziesz — zanucił Stefan. — Uważaj pan tylko, żeby panu synka nie złapali, bo kto panu da jeść? Pułkownik barana nie przyniesie.

— A ty, Tadziu — podchorąży Kolka przełożył nogi przez poręcz łóżka — nie pójdiesz na *Grunwald*?

— Nie chce mi się. Może pójdę do teatru. Podobno na ognisko niespodzianki szykują. A co ciekawego na mszy?

— Idź na mszę — namawiał leniwie Kolka. Zapaścił ręce w spodnie i czochrał się z zainteresowaniem. — Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu redaktorowi napisał do gazетки. Może da ci gulaszu? Gulasz dziś na obiad.

— Da i bez tego. Co dzień mi zupy daje.

— Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć Arcybiskupa?

— Cóż jest między nami wspólnego? — rozłożyłem ręce z emfazą. — Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz — bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy. A *Grunwald*? Albo mi tu źle na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada — ukloniłem się w stronę chorążego — a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą — dodałem rzeczowo — jeszcze go nie ma. Dopiero generalicja podąży godnie i w ordynku na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modę z koca koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie, Pułkownik

podobny był do masywnego kłoca o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major owinięty w dziewiczą zielen niemieckiego munduru oficerskiego. Ciskał rękoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kaznodziejsku tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allah. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się niezróżnicowane stado zielonych i czarnych kurtek, gestykujących rąk, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furażerkach, obficie posypanych narodowymi barwami.

— Że też ich Niemcy nie zdążyli wybić! — Stefan oparł się w zadumie o parapet i patrzył ze złością na dziedziniec. Czarne, sterczące włosy lśniły jak sierść psa. — Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Byle z daleka od niej mieć dwie miski zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! — Odchylił się od parapetu i płaską dłonią plasnął się w czoło. — Przecież sam widziałeś, trzymałem tę hołotę na bloku, karmiłem, nadstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

— Nie chwal się, blokowy — przerwał ostro podchorąży Kolka, aż Stefan odwrócił się do sali — byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej zupę.

— A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy, czyste koce, napchane sienniki? To mało? Wyżyliby na komandzie?

— Oczyszczyłoby się powietrze, jakby zdechli — dorzuciłem pogodnie, patrząc ubawiony, jak Stefan, były kolega, flegler z Birkenau, potem laufer i pipel esmański na małej komand-rówce, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uważnie po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym bloku, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwala się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanżu.

— A pamiętasz — ciągnął w rozgoryczeniu — jak w Alla-

chu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na pryczy i — nic, tylko młynek i placki piec. Tu, rozumiesz, świat się przewala, artyleria esmańska w obóz, jakieś kobiety posmażyły się, wsie naokoło palą się, chłopcy poszli na rabunek z nożem, Amerykanie przychodzą, szal, zbratanie ludów, koniec wojny! A ten — młynek, placki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak...

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy korzystając z okazji zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,
brat poznaje wreszcie brata.
Kręci młynek mieląc mąkę
nasz Pułkownik, pan Kuriata.

Drugą miskę dostał zupy,
więc się poczuł silny władzą.
Ja, ja mogę już do służby,
niech mi tylko zjeść co dadzą.

Pułkowniku, ostro cel!
Pułkowniku, mąkę miel!
Niech się klin wybija klinem,
pulk stworzymy ci z kasynem,

za wygranie każdej bitwy
damy zupy — cztery litry!

— Tak było, masz rację, Stefan — pochwaliłem. — To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa?

Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył mnie spokojnymi oczyma.

— Dziwię się panu, inteligentowi — rzekł z goryczą. — W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem kupą się trzymać i nie warcholić! Warcholstwo gubi nas! Przez nie giniemy!

— W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoda panu chorążemu? — szczechnął zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw cho-

rażego. — Książeczek się pan chorąży naczytał, książeczek, zupy pojadł, Niemeczkę pomacał, to do zgody woła... W Katyniu, co?

— Pewnie, że w Katyniu, ty bękarcie! Ty wiesz, co to znaczy? To twoi kochani rodacy ze Wschodu, twoja Polska, gadzino zapluta! — wybuchnął nagle chorąży i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie nabiegły krwią.

— A co, nie podoba wam się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby syneček mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuszki sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

— Idź do tej swojej, idź! — syknął chorąży przez zęby. Zbielale wargi poczęły mu drżeć. — Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

— Nie bój się pan, pójde — zaśpiewał łagodnie Stefan — mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójde i będę na was czekał, o będę!

Podchorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na mój barłóg furę śmieci. Kiwnął do mnie wesolo ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochylenie głowy. Czarny Cygan jęknął boleśnie znad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi zakolysałem głową, jakby próbując, czy w niej nie zachlupocze woda.

— Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyń zrobili, idź — krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

Chorąży szarpnął za stół, przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo ciętymi gałęziami hali odczwał się srebrnie dzwonek; tłumek zebrany przed halą sypnął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przystrojonej suto w czerwień i biel, wszedł ksiądz w fioletach i otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży posterował do hali.

— E, dajcie no spokój! — wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. — Nie bić się, sukinsyny! Arcybiskup idzie na mszę świętą!

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesel siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wyłaził ze śnieżnego, wykładanego *à la* Słowacki kołnierzyka i poważnie podawał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozował na krzesła Aktor. Czuł się nieswojo w ukradzionym cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytająco okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok z karminowej sukni rozlewa się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. First Lieutenant, właściwy komendant obozu, założywszy nogę na nogę, żuł obojętnie gumę i błyszcząc obco brylantyną tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbił się tłum, szczelnie oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzożowemu krzyżowi, wyciętym z papieru orłom przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych zszytych z prześcieradeł, otwartym drzwiom, w których kołysał się bluszcz i drżało pogodne niebo, przyglądał się i milczał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

— Jak przeczytasz *Sowizdrzała*, to mi oddaj — zaszeptał Redaktor. — Przyjdiesz do nas na gulasz? Bo my wcześniej do teatru idziemy — uklęknął na jedno kolano i uderzył się pięścią w piersi.

— Przyjdę — zapewniłem go żarliwie, osuwając się na ziemię.

Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd beczynn timer przy fotelu ksiądz z Dachau poskoczył żywo i włożył mu mitrę na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie uwierała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochylonymi głowami przeplłynął słaby szept modlitwy.

Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wążiutkim

skrawku zieleni pod anemicznymi platanami, rozkładał się transport wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek. Zieleń zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobiety, rozwrzeszczane czarne bachory, omdlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przejrzyste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na halę, a co energiczniejsi poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

— Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekł pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego, złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami walizek, poduszek i kołder siedziała dziewczyna o niezwykłych oczach. Zamiast krzyżyka dyndała jej się na szyi dziwna, podłużna kapsułka, podobna do małej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jędrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczywszy wysokimi cholewami walizę, siedział władczo Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okopu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

— Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzę w żywe ciało narodu — odrzekłem wykrętnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego pisemka obozowego wydawanego przez księży.

— Ta pani — Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny — właśnie uciekła do żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakotływały się pod bluzką.

— Z band leśnych? — domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych sztubach słuchałem radia z Warszawy. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

— Wprost przeciwnie. Z naszych, Żydówka. Uciekli. Jak krowy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas jak w zakazane zboże. A tu ugór, panienko! — przechylił się do tyłu, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po łydce dziewczyny.

Podąłem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

— Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć złaźła pół świata.

— Jesteśmy z jednego domu — rzekła dziewczyna — z getta — uśmiechnęła się, jakby przepraszając — i znów spotkaliśmy się w jednym domu — ogarnęła dłonią kamienie koszar — w domu eśesmańskim.

— Jakby wojny nie było — dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie roześmiał się hałaśliwie. Potarł zmarszczone dłonie i klepnął się po skórzanych bawarskich spodeńkach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. — Niech pan pamięta o krowach, niedoszły poeto — dorzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolana.

— Żeby szukać lepszego pastwiska? — zapytała znad pie-rzyn dziewczyna. Czubkiem palców musnęła włosy mężczyzny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

— Nie — odrzekł niechętnie Profesor. — Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

— A gdzie jest nasza łąka?

— W Palestynie. W więzieniu Akko pod Jerozolimą. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, cha, cha, cha — parsknął grzmiącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedziniec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po skończonym nabożeństwie, napelniając z szumem dziedziniec jak miskę. Rój promi-nencji, oblepiający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiąkł w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

— Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jemiola na niemieckim dębie. — Pogardliwie machnąłem ręką w stronę placu. — A jednak siła. Bo my walczymy o ideę! A cóż tam, w tej waszej — Polsce?

Nie odchodziłem, szorstkie sukienne spodnie natarczywie łaskotały mi uda. Dziewczyna zsunęła się miękko z pierzyn i wyładowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakołysał się znowu pod bluzką.

— Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa siedzi, a druga połowa trzęsie się? Że to z powodu korony orła? Zna pan przecież polskie dowcipy? Otóż wcale nie! — krzyknęła z pasją. — Wcale nie dlatego!

Chwyciła energicznie za walizkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki. Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa toboły i bijąc po męsku butami o beton podygowałem w górę schodów. Cały czas patrzyłem w kark dziewczyny, która, objuczona betami, człapała przede mną. Jakies jej ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piskliwie, chwytaly rozdygotanymi rękoma za bety i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znów po walizy, pokrzykując wesoło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znów o dziewczynę i pochwyciłem jej rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jęli się do na wpół wywalonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokiereszowanych, spiętrzonych prycz. W ciemnej jak piwnica izbie wzbil się aż pod sufit tłusty kurz i dusił w gardle. Zbierało się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowanych na tyłach koszar ludzi, którzy nie dbając ani o *Grunwald*, ani o świeży lipcowy dzień, ani o kary grożące według regulaminu, siedzieli kupami przy niezliczonych ogniskach, zbudowanych z paru sutych szczyt odłupanych z prycz i stołów, pitrasili w rondlach, menażkach, okopconych puszkiach po konserwach i w zdobycznych aluminiowych garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stada w noc przedgrunwaldową, kaszę, zupy, kompoty, piekli na zardzewiałych rozpalonych blatach placki kartoflane i mieszały drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami miksturach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gęsta, brudna śmietana gotująca się od dołu, bulgotał,

wzdymał się, podnosił się leniwie znad ziemi, wylewał się przez szczyrbaty mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu leżącego na horyzoncie i owijał jak kremem kopuliste platany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny, zmieszanej z dymem, ostro gryźł w nozdrza, aż kręciło się w żołądku. Od spodu, spod dymu, jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie jadło ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i zaciągnąłem do białej, wykładanej kafłami umywalni, która zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem śmierdziała jak latryna.

— To wy tak żyjecie — rzekła pogardliwie Żydówka podstawiwszy ręce pod strumień wody. — Z przodu *Grunwald*, a z tyłu pichcenie. Ja bym dnia tutaj nie wytrzymała. Ach, nie wytrzymała!

— Przyzwyczaiałyby się pani — odparłem urażony. — To jest jeszcze kwarantanna. Ni to kacet, ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Morałną! — uniosłem się gwałtownie. — Ale — zmitygowałem się — ludziom chce się jeść. Człowiek musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili, kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietę! To są zasadnicze sprawy. Na to i *Grunwald* nie pomoże.

Strząsnęła z rąk natrętnie krople. Wytarła ręce o kraj spódniczki. Błysnęła udami. Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrasnęły się cicho za nami. Nie zepsuto ich do tej pory.

— I to po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? — Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. — Nie mówię o chlebie ani — w głosie jej przewinął się leciutki akcent ironii — o kobiecie. Ale pójść po prostu do lasu?

— Bałem się — wyznałem szczerze — bo pilnują. Przeżyć tyle lat i zginać po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek ceni siebie w dwójnasób.

— Bał się pan! — klasnęła w dłonie — ach, bał się pan!

— A panią co ciągnęło na... na cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! — Pokazałem ręką rozbite okno, w którym kłębił się dym. — Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien wychodzących na las.

— Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydiłem się przyszczy wylażących spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z kołnierzykiem.

— Przez sześć lat byłem katoliczką, Polką, nauczyłam się przykazań takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mam dedykację w oczach: „Kochanej córeczco, Janince, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia.” Nazywałam się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki — powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie, nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

— Przecież pani jest jak Aryjka — rzekłem pochwalnie. Oczy jej załśniły wdzięcznością. — To strach. A gdzie miłość?

— Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów — poskarżyła się naiwnie. — Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milczeniem współczucia.

— Zaciągnął się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach. Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak łatwo!

— Nie czekając na odpowiedź? — zdumiałem się.

Zaczerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

— Bałam się, że napisze... — Urwała. — On był jak endek. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wolałam, żeby mnie nazywano chaimką, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło potrącając nas i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota.

Dym z okien wsiąkał w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

— Dobrze to rozumiem — odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk. — Jest pani bardzo odważna. Odwaga strachu. Chciałbym być także takim. — I wypaliłem jednym tchem: — Nie poszłaby pani na spacer, ale tak, poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbiesiłbym się chyba z tęsknoty za przestrzenią i pieszo poszedłbym na zachód czy na wschód. Żal mi zostawić książki, które uzbierałem. Ale z panią — ścisnąłem ją poufale za rękę — nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie. Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dzwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żołądek ćmił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znów przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wejściowe. Coś tam musiało się dziać.

— Jutro odjeżdżamy dalej — rzekła dziewczyna oswobadzając rękę. — Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim... Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! — I nagle rzekła prawie szeptem: — Panicznie się boję, że pojedę do Palestyny. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką — tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za mąż za Żyda? Nie, nie! — krzyknęła, jakbym namawiał ją do tego. — Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie — potwierdziła stanowczo swoje myśli — nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym się zakochać w panu? — Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. — Bo pan umie słuchać. Tak jak Romek. To ten z Siedlec — wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

— Nie spotkamy się nigdy! — droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały — ale — zawiesiła głos — to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją, zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

— Kiedy pan chce iść na ten... spacer?

— Po obiedzie, dobrze? — zaszeptalem z przejęciem. —
Będzie łatwiej przy zmianie warty. Pójdziemy.

Znów paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

— Chodźcie, zobaczycie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! — i zatupał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedział mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozplywając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie jeepami, w których stali żołnierze, Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł zbiegając z bułgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna zapelnily się rozgdakanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendantury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie zajaskrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiął się miękko pod palcami. Przytulila się ufnie.

— Bydło — rzuciła przez zęby — ach, co za bydło! Ileż bym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy — nakryła dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

— To przez tych kucharzy — informował ktoś przed nami — to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie taki jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miszkę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukreścić cholerze antychrystowi, i kwita. Ale z polskim narodem czy można? — I zadumał się posępnie.

— Już im dobrze dali — pocieszył inny — przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, ja wam mówię.

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniu wnętrzu pokojów krzatali się na

gruzach sprzętów ludzie ratując, co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drzwi przeciwległego skrzydła koszar wysunęła się zbита grupa ludzi i szamocąc się jak sfora psów ruszyła przez pusty plac wprost do komendantury. Z pochyłonym łbem, jak bodący byk, szedł przodem chorąży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał przez pół dziewczynę, która mu się wyrwała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarł, uspokoił. Reszta poskoczyła i otoczyła ich i obrzymiego Kolkę, górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wyrwała się gniewna.

— To cóż, po obiedzie — rzekłem z rezygnacją i rozpchnąwszy tłum wypadłem na plac. — To koledzy! — krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przedtem, zanim otoczyli nas żołnierze.

— Ej, Tadziu — zagrzmiał roześmiany Kolka — złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztubie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędzej, bydlę!

I pchnął kolaniem pędzonego kucharza. Kucharz widząc żołnierzy wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, za-bulgotał gardłowo i zamierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem, stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszył wargami, jakby się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

— Bo kradł, proszę księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł! Kradł i cudzołożył! — krzyknął i błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. — I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia — dodał buntowniczo. — Nie z Warszawy, z Londynu!

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w liryczne kwiatki. Po prawowiernych mieszkańcach, oficerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo uciekli do rodziny, albo zajęli opróżnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko solidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez auslenderów, którzy ledwo wyzwoleni z obozu wpadli po skończonej wojnie w bezpańskie koszary, wytłukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmowe, wybili rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amunicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzucające się w oczy mahoniowe salonowe meble i zapaskudziwszy z czubem miski klozetowe odeszli śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tapczan przykryty imitacją tygrysiej skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych spomiędzy śmiecia zalegającego dziedziniec, biblioteka bowiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy esesmanów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną nie wiadomo skąd wytrzaśniętym Norwidem, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła. Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, coż dopiero dla oficerów!

Redaktor wepchnął się do środka, piastując w rękach dwie pełne, dymiące zapachem mięsa miski. Wetknął mi jedną do rąk.

— Masz, jedz i rośnij — rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonalił sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białym-

stoku, głuchym jak wyschły pień. Obaj napelniali pokój niepokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już zachłannie głodny. Z okazji *Bitwy pod Grunwaldem* wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

— Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju — rzekłem do Redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i mlaskając głośno językiem wziął się rażno do jedzenia — żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie, no i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju to cholernie przyjemnie!

— Albo we dwoje! — huknął Redaktor.

— Z tym drugim? — skrzywiłem się z niesmakiem.

— Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, widziałem!

— Co się dziwisz? Po obozie to już chyba czas? — Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony. — Może ucieknę z nią na Zachód.

Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

— No, wiesz — zakpił — ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jakbyś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miskę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidlało się w tęczowe, pawie błyski.

— No, nie martw się — Redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. — Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

— Byłem — mruknąłem niechętnie. — Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

— Prawdziwa sensacja obywają się bez prasy, mój miłenki. Zresztą ksiądz Tokarek nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałeczek chleba i umaczał w sosie.

— A tobie udało się uciec?

— Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdiesz. Wyklarowałem okejom, że ja nic, że przypadkowo, opowiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jeden rękę

podał. Znasz Stefana? — zapytałem. — Był blokowym na szonungu.

— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nie najgorszy.

— Szuja — odrzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec.

Redaktor pokiwał głową. Przechylił miskę i pił sos.

— Można powiedzieć — przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem — że go troszkę nie lubiłeś.

— Ale umiał znaleźć się, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam pułkowników i majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że o la!

— Nie wsadzili go przecież, słyszałem?

— First Lieutenant dał mu do wyboru: albo karę bunkra, albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

— Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. — Wylizal łyżkę, wytarł miskę papierem, papier wyrzucił przez okno, miskę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

— Pójdiesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz — to był ten drugi, głuchy — poszedł na bridża do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! boby wszyscy chcieli. Grają teraz razem w karty. Nic ich nie ruszy, nie tylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przy tym podejrzliwie. Nie lubił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który, zwiłając się przy zamkniętym oknie, wyścielał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z nie dojezdzonym gulaszem. Pewnie go zostawili na wieczór.

Redaktor rzucił klucz na stół i nie powiedziawszy ani słowa wyszedł.

Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słup, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, oprócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztub przed złodziejami lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, z których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, kłął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

— Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przyjdźcie jutro. Jutro będziemy powtarzać *Grunwald*! Każdy zobaczy! — krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapiał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zdeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

— Za grosz inteligencji — rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych drzwiczek dla aktorów. Gdy wśliznęliśmy się na widownię i na migi załatwiliśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarnoniebieskim mroku, z którego błyszczwały ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważane żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zieleń i podpartej czarnym pudłem rozdrzanego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapło-

niona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. — Paru z nich znałem: byli schreiberami w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzątali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i dłonią wskazując na Śpiewaczkę kończył z patosem wiersz:

w imieniu Bogurodzicy,
Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!

Straszliwy trzask wyważonej bramy i triumfalny krzyk wwalającego się do przepelnionego garażu tłumu złał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zapłonioną Rzeczpospolitą oraz jej kochanka, Aktora, w zachwyceniu w nią wpatrzonego, Redaktor, który się nareszcie umieszczył jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno z niekłamany zadowoleniem:

— Szkoda, że jeszcze łóżka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita! I warta grzechu!

IV

— Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód? — Dziewczyna pochyliła się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakolysał się pod bluzką. W jej

niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne, rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

— Nie, nie rwie mnie już nigdzie — westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię pachnącą zbutwiałym igliwem. — Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce.

Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piął się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił ocierając się o korę drzew. Słońce, rozszczerzone w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i tkwiło w bladozielonej trawie, która prześwietlona jak cieniutkie złoto pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło, jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na łodydze dziewanny.

— Gramoli się żarłocznie w konchę jak kosmaty psiak do miski z mlekiem — rzekłem pobłaźliwie.

— Raczej jak dziecko na parapet okna — zaobserwowała dziewczyna. — Ach, ileż ja ich wyniańczyć musiałam. Nie nawidzę dzieci! — krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem. — Chodź — zdecydowała się nagle. — Już późno. Patrz, jak pociemniały sosny. Czwartha? Piąta? — Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. — O, jak nisko słońce. — Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

— Chodź — zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce. — Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga ujęta w tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

— Widzisz, Nino — na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół — tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

— No, właśnie — podchwyciła Nina — jedź ze mną na Zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

— A chłopiec w Polsce?

— Zapomnę o nim.

— Ale dotąd nie zapomniałaś?

— Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

— Nie miałaś?

— Ci ludzie, z którymi jadę od Polski — podjęła po chwili z wysiłkiem — to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad drogą płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar, a opasawszy je zielenią jak mostem pięło się, nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przeblyskujące różowo poprzez niebieskawym dym powietrza jak przez jedwabny szal.

— Nino, zostań ze mną — rzekłem niespodziewanie. — Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, żą dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Boję się przestrzeni, boję się ludzi, bo cóż ja jestem? Jakie mam prawa? — Umilkłem szukając w myśli praw przysługujących mi. — Żadnych! Rozumiesz, żadnych! — zawiesiłem głos i wpatrzyłem się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. — Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

— Ja się nie boję — rzekła sucho Nina.

— Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! — Urwałem szukając sugestywnej metafory. — Być jak drzewo bez korzeni! Uschnąć!

— Więc wracasz do Polski — stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. — Chciałeś mnie tylko na jeden dzień, jak wszyscy.

— Wszyscy — gwizdnałem przez zęby.

— Tak, wszyscy! — krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. — Wszyscy, dla których jestem Żydówką! Widzisz to? — ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. — Nie spy-

tales mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wyrzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! — krzyknęła zjadliwie. — Wracaj do Polski!

— Wracaj do Polski! — Przestraszyłem się głosu, jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i uklonił się dziewczynie. — Wracaj do Polski — powtórzył. — Chodź ze mną. Ja idę na piechotę.

— Na piechotę? Toś morowy chłop — zachwyciłem się zdawkowo. — A gdzie Niemka? — rozejrzałem się podejrzliwie.

— Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu — przejechał ręką po włosach. — Fajna dziewczyna. Pójdiesz ze mną?

— Wiesz, poszedłbym, ale... — zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z trzaskiem.

— Książeczki, książeczki — uśmiechnął się gorzko — to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A ja ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? — Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego oka. — Co tu masz oprócz tej Żydówki?

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina przejmującym szepcetem. — Pan jest, pan jest... — zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. — Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

— Obóz jest obstawiony przez Amerykan — rzekł do mnie. — Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić! Wszystkich!

— Oszalałeś! I Pułkownika, i Majora? I cały sztab? A księży, a kuchnie?

— Idź do obozu, to zobaczysz — powiedział Stefan. — Czekam w Polsce.

— Nie wywożą, mylisz się, przecież dziś *Grunwald*.

— *Grunwald!* — Stefan roześmiał się, dotknął swego podobitego oka. — Ruszaj z *Grunwaldem* — rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba wyrzucona na brzeg. — Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.

— Na pewno się uda — powiedziałem nieco zbyt skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przyłgnęła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. — Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roztajał. Gmerał w otwartym plecaku. Czerwone kepi, ozdoba muzułmańskich oddziałów SS zsunęła mu się na ucho. Czarny kutas dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. Kopuły drzew szumiały, jakby las siedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czolgów i porządnie, jak w sklepie z manufakturą, leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekwały jutra. Mędzy samochodami krzątali się półnaczy Murzyni. Świecili się ostrym, brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby wyszedłszy na koszary od tyłu wedrzeć się do nich przez rozbitą, zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy podpartym paroma patykami, w głębi cienia

siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci staliśmy na łące przed bramą, jak para zagubionych dzieci przed chatką czarownicy.

— Zaczekajmy do zmroku — rzekłem zdjęty niepokojem — może nie puszcza nas. Wracajmy do lasku.

Wysunęła mi się spod ręki, parszając krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Tak ci się śpieszyło na *Grunwald*, i co? Znowu się boisz? Poczekaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakikolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką, prac przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się bieć za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć, ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich zdejmując z ramienia karabinek zawołał ze śmiechem na całe gardło:

— *Fräulein, Fräulein! Halt, halt! Come here!*

— Stop, stop! — krzyknął piskliwie drugi.

Śpiący u drugiego krańca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, który mu się wysunął spomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, pochylił głowę na oka mgnienie na prawo i —

Dziewczyna obronnym ruchem podniosła ręce do gardła, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miękko osunęła się za nim, jakby pośliznęła się na cegle; zniknęła za krawędzią jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy śmiejąc się wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten,

który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramię, podniósł z ziemi hełm, otrzepał go, włożył na głowę i pogwiżdżąc bezmyślnie, pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na oczach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią wardze usiadła duża niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała bzykając. Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła o mdłym zapachu krew przesączała się szeroką plamą przez bluzkę, opinającą zbyt wydatną pierś, i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman o kształcie świstawki przesunął się na szyi na bok, zawahał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem spod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i podniósłszy się z klęczek otrzepałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy skupionych i milczących. Z trudem przepchałem się łokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciaśniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymiły się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. Wiatr skręcał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mur. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelstnie zsunęły się w powietrzu, zabielały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym trzaskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i upadł. Z niezmiernej oddali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza ściany. Spomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy wysadzanej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny jeep wypchany żołnierzami, przesliznęła się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł hamując ze zgrzytem.

— *What's happened?* Czemu ci ludzie tak krzyczą?

First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W ota-

czającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płótna. Oficer napotkawszy spojrzenie zamrugał i ściągnął nieco wargi. Wsunął z auta nogę i zakołysał nią z wahaniami. Słońce zaśniło i rozkwitło w brązowym wyglansowanym półbuciku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobył paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i porwany wiatrem znikł w powietrzu. Podszedłem, nie śpiąc się, do auta.

— *Do you speak English?* — zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się, i naraz zaczął żuć.

— *I do* — kiwnąłem. Mój głos zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

— *What's happened?* — powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wyprysnie z auta. — Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem opuszczonym lufą na dół wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

— *Nothing, sir.* Nic się nie stało — uspokoilem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. — Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobielala.

— *My God* — powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w ustach, gdyż krzywiąc się wypluł gumę. Różowa grudka zaczerwieńnięła się w kurzu drogi. — *My God! My God!* — Chwycił się za głowę.

— *My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni* —

odrzekłem obojętnie. — Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza, jak napęczniały balonik, pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrząc w oczy żołnierzom cały czas wrogo skandował:

— Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!

V

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stołach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek białeły w gęstym mroku jak oskrobane z włókien wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładne, jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypaproszonych brzuchów, wylewały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. Pod nogami szeleściły zwały podartych, zduszonych książek. W powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gnily i rozkładały się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem czerwoną rakieta. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelestnie spłynęło po oknie, jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zawahały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła zajrzałem do szafy. Wygarnięto z niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych płatków kartoflanych. Zaszleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakieta spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silniej czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce przeszorowały po

szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozplynął się w nagłym chrzęście słomy. Umilkło.

— Cygan? Cygan, bracie, to ty? — zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem od szafy i czepiając się łóżek brnąłem w głąb sali. Rozbite szkło zachrząściło pod nogami. — Cygan, jesteś? — Zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

— A gdzieżbym był, jak mnie tak wszystko pieruńsko boli! — zajęczał w ciemności Cygan. Siennik znów zachrząścił niespokojnie. — Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

— Nikt nie przyniósł kolacji? — krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. — Nie ma kolacji — powtórzyłem machinalnie. — A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

— Nie było nikogo, nikt nie pilnował — ciągnął płaczący Cygan zachłystując się słowami jak płaczem. — Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tadku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, toby panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzierali, panu Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O Boże miłosierny, zlituj się nad nami. I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybroniłem. Pod głową go miałem.

— Nie trzeba było surowego barana jeść, tobyś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną — rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

— Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało — zaklął Cygan pochlipując. — A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojechał do pana generała Andersa.

— Redaktor? Co mi zupy dawał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! — Uczulem znowu, że jestem głodny.

— A pan chorąży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze — ciągnął monotonicznie Cygan. Czerwona rakietka znów rozjarzyła się na granatowym niebie, obok wykwitły zielone,

pomarańczowe i żółte, razem bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak rtęcią trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. — A mówili, że pana chorążego i pana Kolę za karę do Polski odesłają.

— Przecież Kolka chciał jechać do Włoch — zawołałem w zdumieniu. — No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

— A panu chorążemu szafkę rozbili, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

— Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Sameś pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś, jak tata chował — odezwał się z dołu syn chorążego. Łóżko zakrzypiało z pasji.

— O, udało się panu wrócić? — ucieszyłem się uprzejmie. — Tatusz martwił się o pana.

— Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się — burknął syn chorążego. — Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojedę — dodał z lekceważeniem.

— Przywiózł pan co?

— Przywiozłem — odparł — ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. — Pogmerał, a z ciemności wydobyl się oburzony kobiący pisk. — Niemrę kupilem. Przeciagnałem przez dziurę. Znajome kowboje na warcie stali.

— Ale pan ma szczęście — westchnąłem zazdrośnie.

— Pan by też mógł mieć, jakby pan pochodził.

A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

— A jutro? Jak będzie transport?

— O jutrze będziemy jutro gadać — ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. — Chłopaki się nie dadzą.

— Tak pan myśli?

— Ale, szykują się do obrony — zapewnił z przekonaniem. — Tam — machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza. — *Grunwald* robią. Ale my zrobimy lepszey. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakietnice na *Grunwald*? Jak ustawią ze dwa cekaemy na strychu, jak pluną... Co, okeje nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Lecz tylko owi-

nę kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. Fontanna rakiet przepływała przez powietrze, opadała rozżarzonymi kroplami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

— *Grunwald* robią — rzekłem do syna chorążego. — Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znaleźli, bo szkoda.

— O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał, jakby w zadyszce. — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna albo co? A może pójdę z nią do chłopaków i będziemy siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcję, to się wyjdzie, i dobra, do następnego razu!

— Podobnież do Koburga transport ma iść — odezwał się Cygan. — Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tacku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej zapadłej twarzy błyszczały niesamowite, jakby nafosforyzowane.

— Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoda, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, tobyś nie miał kłopotu dzisiaj — rzekłem z pogardą. Syn chorążego zachichotał i pokręcił się na łóżku. — Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza — dodałem łagodniej. — Bo co innego robić?

— Idź pan na *Grunwald* — poradził syn chorążego — a jak się skończy, to się pan tu prześpisz. Bo ja mięso idę gotować.

Wstałem od stołu i brnąc po książkach dotarłem do drzwi. Naraz otwarto je z drugiej strony i z czarnej nory korytarza zamigotała w świetle żółtej rakiety ostra, ciemna twarz o w półotwartych ustach. Rakietka spłynęła w dół, a błyszczące okulary nabiegły różową poświatą.

— Profesorze, to pan! — krzyknąłem histerycznie. Podprowadziłem go do stołu.

— Szukał mnie pan?

Profesor był wciąż w skórzanym tyrolskim stroju. Po białych, z rzadka porośłych czarnym włosom kolanach przesuwały się kolorowe cienie, ogarniały bawarską koszulkę, wspinały się po twarzy i przez sufit uciekały za okno.

— Szukałem — rzekł Profesor. — Miałem przecież być u pana. Zadbałem dla pana o dobre miejsce przy ognisku. Zaraz się zacznie. Gdzież pan był tyle czasu?

Klepnął się po kolanach. Sięgnął do kieszonki. Zmięty, pokruszony papieros przewinął się przez palce i rozżarzył się w ustach nikłym płomieniem, napędzając czerwień w wargi, kładąc się słabym refleksem w rozpadlinach twarzy.

— Nie wiem, gdzie byłem, doprawdy — rzekłem słabo. Opuściłem głowę i zapatrzyłem się w podłogę. Przedarty leżał na ziemi drzeworyt z bohaterских, wesołych i chwalebnych przygód Sowizdrzała, dziewczyna z nagimi piersiami grająca pod ścianą na gitarze. — Gdzieś laziłem po obozie. Czy to nie wszystko jedno! Konwenanse towarzyskie? Tu! W przeddzień transportu? I tak jutro nie spotkamy się więcej.

— Ziemia jest mała! — zawołał Profesor. Zaciągnął się papierosem. Puszysty kłąb dymu błysnął różowym podbrzuszem i wypiąwszy siny grzbiet rozpląszczył się pod sufitem. — Oczywiście, że się spotkamy. Nie na tej, to na innej łące — wrócił do swojej ulubionej myśli. — Tylko... — naraz zeszytywniał wpół słowa. — Zastrzelili ją — rzekł po chwili, odrzucając niedopałek — zastrzelili ją na bramie. Poszła na spacer.

— Ta pańska sąsiadka?

— Ta, co przyjechała z Pilzna. Moja sąsiadka z domu. Jak wyjeżdżałem we wrześniu, była jeszcze dzieckiem. Nieraz, dawniej, kupowałem jej ciastka. Wie pan, były takie z kremem. Truskawka na czubie? — Zajrzał mi w oczy, niepewny, czy przypominam. — Kolegowałem z jej ojcem — dodał tonem wyjaśnienia. — A teraz, patrz pan — uderzył mnie dłonią po ramieniu — jaka wypierśna kobieta! Już ją prawie miałem w rękę, już ją obmacywałem i co za nieszczęście...

Sięgnął znów do kieszeni. Pogrzebał w niej natarczywie. Nie znalazł. Westchnął ciężko i podparł głowę rękoma.

— Co za nieszczęście! — powtórzył jakby sennie. — Cóż zrobić? — Pomilczał, pokiwał głową. — Chodźmy na *Grunwald!* — zdecydował się.

— To ja byłem z nią. Byłem z nią w lesie — rzekłem niespodziewanie dla samego siebie. — Przy mnie zastrzelili ją. A pan mi o *Grunwaldzie*...

Zerwałem się z łóżka. Profesor podniósł głowę, ciężko dźwi-gnął się, jakby wychodził z wody, zakołysał się i chwycił mnie za ręce. Brązowy jeleń, wytłoczony na pasku łączącym szelki, drgał w świetle rakiet jak żywy. Na kościstej twarzy Profesora światła mieszały się i nabrzmiewały, czerwień bełtała się z ziele-nią, szły razem ku czołu, podływały pod sufit, a na ich miej-sce wylewały się różowe, niebieskie i żółte światła i osadzały się pod brodą, w kątach ust, pod oczami, w zagłębieniach uszu, jak farby na portrecie. Twarz Profesora grała wszystkimi ko-lorami tęczy, pęczniała od środka, puchła, policzki wydymały się jak szkliste, mieniające się banie, jakby Profesor dusił się od światła. Nagle puścił ze świstem powietrze i rozwarłszy szeroko usta ryknął ogromnym, huczącym śmiechem.

— Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! — dusił się do-brą chwilę od śmiechu, ściskając mi coraz silniej ręce, a światło nabiegło mu natychmiast w otwarte usta i zakotłowało się w nich różnobarwnie.

— Profesorze, niech pan przestanie! — krzyknąłem wyr-ywając ręce z uścisku. — Pan oszalał!

— A ja myślałem, że będę spał z nią dzisiaj. Przyszykowałem kolację. Nawet prześcieradło dostałem! Cha, cha, cha, cha! a pan z nią! Młodości! Młodości! — Trząsł się całym ciałem od śmiechu, wielki, chudy, obrzydliwie kolorowy. — Prze-cież to była taka zwyczajna! Ja ją chciałem! Cha, cha, cha, cha!

Nagle zachwiał się, zakasłał się gwałtownie i schylił się ku ziemi, charcząc. Cała sala, wypełniona światłami, kołysała się jak okręt. Kolorowe sienniki, stoły, ściany, miski, książki mie-niły się i wirowały jak jaskrawe kule.

— Widzisz, Profesor — odezwał się z kąta syn chorążego — nie trzeba było kochać się na starość. Dziewczyny nie dosta-łeś, ale gruźlicę. I *Grunwaldu* nie zobaczysz. Leż, leż, cholero — dodał niecierpliwie, a łóżko zachrobotło. — Kręci się, jakby jej kto smoły nalał.

— *Grunwald*, prawda, *Grunwald*! — Profesor wyprostował się. Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgasła wraz z ostat-

nią rakieta i poszarzała jak wystygły popiół. — Chodźcie wszyscy na *Grunwald!*

Za oknem, w mroku, który zgasił rakiety, buchnął nagle rudy płomień, polizał czarne okna jak łaszący się pies i rozkochał się mrok jak dzwon. Cienie drzew wydłużyły się aż ponad dach i chwiały się jak świece.

— Chodźcie wszyscy na *Grunwald!* — zapał Profesor. Pościągął mnie do okna. — Zobacz pan, zobacz pan! — wołał niecierpliwie. Obrócił się ku sali. — Chodźcie wszyscy — rzekł prosząco. — Weź pan dziewczynę, niech i ona zobaczy. — Wychyliłem się za parapet. W czarnej misce podwórza naokoło drgającej bani płonącego stosu, który rozbity wiatrem rozwiewał się jak grzywa pędzącego konia, stał milczący tłum. Błyski ognia ślizgały się po twarzach i nasycaly je krwią, którą zaraz wysysała ciemność. Suche deski płonęły z trzaskiem, a odpryski odlatywały w mrok. Światło raket umilkło.

— Był pan w kościółku w osiedlu niemieckim? Nie? — Profesor już się opanował. Mówił poważnie, prawie surowo. Twarz jego, odziana w mrok, stała się znowu ostra i zmęczona. — Ja tam codziennie chodzę. Spokojnie. Pełno Boga. Aż się wylewa. Amboneczka, w okieneczkach krateczki, maleńki ołtarzyk, sentencje z Biblii na ściankach. A pod jedną ze ścianek krzyżyki, na krzyżykach klepsydry, sami esesmani! Rozumiesz pan? A kwiatów pod krzyżykami, zatrząsienie kwiatów! — W oczach jego płonął rudy blask ogniska. — Tak Niemcy czczą swoich umarłych.

— A my? — mruknąłem z ubolewaniem. — Pies z kulawą nogą nie zadba, jak człowiek zdechnie.

Syn chorążego wstał z łóżka i przyczłapał nagi do okna. Dziewczyna w nocnej koszuli sunęła za nim cicho jak duch. Czarny Cygan podparł się na łokciu i z zazdrością patrzył za okno.

— My? — powtórzył Profesor w zamyśleniu. — My jesteśmy tuż przy nich. My... Patrzcie! — krzyknął drapieżnie — patrzcie na ognisko! Na to czekam, to *Grunwald!*

Na stos dorzucono świeżych sosnowych gałęzi. Ogień przygasił. Powiało gęstym, brudnym dymem. Wiatr odparł dym, płomień bryzgał pod niebo. Z tłumy wytrzymał się ksiądz w sułtaninie. Biały kołnierzyk ścisnął rudą szyję. Ksiądz podniósł

obie ręce, jakby błogosławił. Gdzieś w głębi ciemności wywleczono człowieka w mundurze esesmańskim. Hełm z brzękiem spadł na beton dziedzińca. Tłum buchnął śmiechem. Człowiekowi wciśnięto z powrotem hełm na głowę. Ksiądz ujął go za ramiona, dźwignął z wysiłkiem i wśród okrzyków tłumu cisnął człowieka w ogień.

Twarz stojącej obok mnie dziewczyny poszarzała jak popiół. Oczy jej jak dwa węgle żarzyły się przerażeniem. Zgasły, przykryte powiekami. Wczepiła we mnie kurczowo palce.

— *Was ist los?* — zaszepiała szcękając zębami. Pogłaskałem ją uspokajająco po chłodnej dłoni. Wparła się we mnie całym ciałem. Podnosił się od niej zapach, bił w nozdrza i wdrażał się w ciało. — *Was ist los?* — usta jej skrzywiły się. Odgarnęła włosy znad czoła.

— *Ruhig, ruhig, Kind* — rzekł łagodnie Profesor. — To pali się kukła esesmana. — To nasza odpowiedź — na krematoria i na kościółek.

— I na martwą dziewczynę — warknąłem przez zęby.

Sięgnąłem dłonią do tyłu. Ciepłe ciało dziewczyny przylgnęło do mnie szczelnie i drżało z podniecenia i strachu. Dyszała mi wprost w kark parnym, gorącym oddechem.

Przed tłum wystąpił Aktor, gruby, mały, ogarnięty blaskiem jak czerwonym płaszczem, i podczas gdy ksiądz ciskał w ogień coraz to nowe kukły, które jak podlane naftą rozrywały się słupem płomienia i skręcały się w tym ruchu jak żywe, on podniósł ramiona w górę, uciszył krzyczący tłum, jednym gestem dłoni rozszczępił go wzdłuż szerokiej ulicy, dźwignął głowę ku ciemnym dachom koszar i dał znak.

Buchnęły kaskady rakiet. Niebo zapaliło się jak choinka, trysnęło bengalskimi ognikami i spadało kroplami na ziemię. Ze strychów odezwały się długie serie karabinów maszynowych. Dymne pociski szły popielatymi smugami przez niebo jak stada dzikich gęsi. Tłum, objęty pożarem rakiet, zajaskrawił się wraz z całym podwórzem, które kłębiło się i wirowało jak gnana wiatrem bańka mydlana.

— Niech umarli grzebią umarłych — rzekł w zadumie Profesor. — My, żywi, idźmy z żywymi. — Policzki jego, zanurzone w tygiel rakiet, znów nabrzmiały i napęczniały. Naraz Profesor zarechotał po raz drugi śmiechem. — Żywi z żywymi!

Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! Żywi z żywymi. Tak jak oni, na zawsze! Patrzcie!

Wyciągnął rękę w stronę hali tonącej w mętym mroku. Spod jej cienia, jak spod olbrzymiej skorupy na wpół otwartej ostrzem ognia, między kamiennymi ścianami budynków, zamazanych cieniem drzew, po dziedzińcu poesesmańskich koszar, na którym w rocznicę bitwy pod Grunwaldem rzucono na stos słomiane kukły żołnierzy z SS, w przededniu transportu, który wszystko miał zniszczyć i rozproszyć bezpowrotnie ludzi, głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i — śpiewał.

1 Kawię
porozumiewa z Mary
występnie opowiadanie
w wam
wielce

Kamienny świat

Opowiadanie w dwudziestu obrazach

Krótką przedmowa

Janowi Dobraczyńskiemu

„Kamienny świat” jest jednym obszernym opowiadaniem, złożonym z dwudziestu samodzielnych części. Autor próbował możliwości, jakie daje forma „krótkiego opowiadania”, i uznał próbę za niezbyt udaną. Forma krótkiego opowiadania podobna jest do formy ciasnego kołnierzyka, gdyż tamuje oddech. Oducza ona komentarza i omówienia, przyzwyczajają do jedności akcji, czasu i miejsca, zamiast pisarza — kształci aparat fotograficzny.

Niektóre z tych krótkich opowiadań są tylko realistyczne, niektóre są blahe, inne zawierają polemikę z cudzymi postawami pisarskimi. Adresy polemiki wskazują dedykacje, ale nie wszystkie. Niektóre są tylko grzecznościowe. Nie jestem pozytywnym katastrofistą, nie znałem kapy Kwaśniaka, nie jadłem mózgów ludzkich, nie mordowałem dzieci, nie siedziałem w bunkrze, nie chadzałem z Niemcami do opery, nie piłem wina w ogrodzie, nie oddaję się infantylnym marzeniom — w ogóle byłoby mi bardzo przykro, gdyby opowiadania z „Kamiennego świata” zostały potraktowane jako kartki z intymnego pamiętnika autora tylko dlatego, że są pisane w pierwszej osobie.

Nie wiem, czy przedmowa ta usprawiedliwia dostatecznie moje krótkie opowiadania. Napisałem ją głównie dlatego, aby się mnie nie czepiali różni radykalni katolicy — oraz inni.

Kamienny świat

Dla Towarzysza Pawła Heriza

Od pewnego czasu, jak płód w łonie kobiety, dojrzewa we mnie i trwożnym oczekiwaniem napęlnia mnie świadomość, że Niezmierzony Wszechświat wydyma się z niewyobrażalną szybkością niczym kosmiczna bańka mydlana; nurtują mnie kłujące niepokoje skąpca, kiedy choćby przez chwilę pomyślę, że wszechświat wycieka w pustkę jak woda przez palce i że kiedyś — może jeszcze dziś, może dopiero jutro, może za parę lat świetlnych — wsiąknie w nią bezpowrotnie, jakby był zbudowany nie z solidnej materii, lecz tylko z przelotnego dźwięku. Od razu muszę wyznać, że chociaż bardzo rzadko zmuszam się po wojnie do oczyszczenia butów i prawie nigdy nie wyskrobuję błota z mankietów spodni, że chociaż wiele wysiłku kosztuje mnie co drugi dzień ogolenie moich policzków, brody i podgardla, że choć dla oszczędności czasu ogryzam paznokcie zębami i nie poszukuję rzadkich książek ani kochanek, wiążąc przez tę rezygnację sens mego losu z losem wszechświata, to jednak dopiero od niedawna z lubością wychodzę z domu w skwarne popołudnia na długie, samotne przechadzki po robotniczych dzielnicach swego miasta.

Bardzo lubię wciągać w płuca szerokimi haustami zatęchły, suchy jak tarta bułka pył ruin i z ledwie zamaskowaną ironią, skłaniając z przyzwyczajenia głowę nieco na prawe ramię,

przyglądam się wiejskim babom przykucniętym przy towarze pod ścianami zburzonych kamienic, brudnym dzieciom gonącym między kałużami po nocy za szmacianką oblepioną błotem, a także zakurzonym, śmierdzącym potem robotnikom, którzy na bezludnej ulicy przekuwają z pośpiechem od świtu do nocy szyny tramwajowe — widzę bowiem wyraźnie, jakby w lustrze, jak te porastające trawką ruiny, baby wiejskie, ich zaprawiona mąką śmietana i zacuchłe kiecki, szyny tramwajowe, szmacianka i goniące za nią dzieci, położone przy torowisku sztangi i młoty żelazne oraz muskularne ręce, zmęczone oczy i ciała robotników, ulica i placyk za nią, pełen drewnianych straganów, nad którymi unosi się gniewny gwar ludzki i chmury pędzone szybkim wiatrem — jak wszystko to rozwiewa się nagle i spada skłębione gdzieś w dół pod moje stopy — niczym odbicia drzew i nieba w potoku, który wartko przelewa się pod kładką.

Wydaje mi się czasami, że również odczucia, powiedziałbym, biologiczne, tężeją we mnie i krzepną, nieczule jak żywica. W przeciwieństwie do lat ubiegłych, kiedy przyglądałem się światu oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia i stąpałem przez byle ulicę uważnie jak młody kot po parapecie, obecnie obojętnie zagłębiam się w ruchliwy tłum i zupełnie bez emocji ocieram się o rozparzone ciała dziewcząt, wabiących golizną kolan i przemyślnym spiętrzeniem tłustych włosów. Przy mrużam oczy i znowu z przyjemnością widzę przez powieki, jak podmuch kosmicznego wichru podbija tłum aż po kopuły drzew, bełta ludzkie ciała w olbrzymi wir, skręca rozwarłe w przerożeniu usta, miesza różowe policzki dzieci z owłosionymi piersiami mężczyzn, w strzępy sukienek owija zaciskające się pięści, niby pianę wyrzuca na wierzch białe uda, spod których wychylają się kapelusze i odłamki głów oplecione wodorostami włosów — i jak ta przedziwna mieszanina, gigantyczna zupa ugotowana z tłumy, płynie wzdłuż ulicy nad rynsztokiem i nieomal z bulgotem wsiąka w nicość jak w kanał odpływowy.

Nic dziwnego przeto, że pełen lekceważenia, podbitego leciutką pogardą, wchodzę z godnością człowieczą do masywnych, chłodnych gmachów z granitu. Nie zwykłem się zachwycać schodami z marmuru oczyszczonego ze spalenizny i przy-

krytego czerwonym chodnikiem, który — stękając z wysiłku — trzepią co rano posługaczki, nie zwracam uwagi na nowe futryny okienne ani na odmalowane ściany wypalonego domu. Obojętnie wkraczam do ciasnych, lecz przytulnych pokoiów osób ważnych i czasami nieco za uprzejmie proszę o rzeczy zbyt blade, które wprawdzie mi się należą, ale które — wiem to, ostatecznie — nie zdołają sprawić, aby świat ten nie wzbierał jak przejrzały owoc granatu i nie pękł wysypując zamiast ziaren na szklistą pustynię suchy, szeleszczący popiół.

Kiedy po upalnym dniu kurzu i zapachu benzyny zapada wreszcie orzeźwiający zmrok i przemienia gruźlicze ruiny w niewinne dekoracje ciemniejące na tle coraz gęstszego nieba, wracam pod świeżo zasadzonymi latarniami do pachnącego surowym wapnem mieszkania, które kupiłem od pośrednika za wysoką sumę, nie rejestrowaną w żadnym urzędzie skarbowym, zasiadam przy parapecie, opieram głowę o dłonie i, kołysany brzękiem talerzy, które żona zmywa w niszy kuchennej, przyglądam się oknom domu naprzeciwko, gdzie jedno po drugim gasną światła i milkną głośniki radiowe.

Jeszcze chwilę łowię uchem niewyraźne odgłosy uliczne: pijacką piosenkę z pobliskiej budki z papierosami, szurgot kroków, dudnienie pociągów podchodzących do stacji, natarczywy i uparty dźwięk młotów nocnej zmiany, przekuwającej z pośpiechem szyny tramwajowe już na zakręcie ulicy — i coraz wyraźniej czuję, że wzbiera we mnie ogromne rozczarowanie. Odpycham się energicznie od okna, jakbym rozrywał krępujący mnie sznur, przysiadam się do biurka z uczuciem, że znowu straciłem bezpowrotnie czas, wyciągam z głębi szuflady porzucone od dawna papiery i ponieważ świat dzisiaj się jeszcze nie rozwiął, wydaję czyste kartki, rozkładam je pedantycznie na biurku i przymknąwszy oczy staram się odnaleźć w sobie tkliwą przyjaźń dla robotników znad szyn tramwajowych, dla wiejskich bab z fałszywą śmietaną, pociągów z towarem, ciemniejącego nieba nad ruinami, dla przechodniów z alei i dla nowych futryn, a nawet dla żony wycierającej talerze — i z wielkim wysiłkiem intelektualnym pragnę uchwycić prawdziwy sens widzianych rzeczy, zdarzeń i ludzi. Zamierzam bowiem napisać wielkie, wieczyste dzieło epickie, godne tego nie przemijającego, trudnego, jakby ciosanego w kamieniu świata.

Opowiadanie z prawdziwego życia

Redaktorowi Stefanowi Żółkiewskiemu

Myślałem wtedy, że umrę. Leżałem na gołym sienniku, okryty kocem, który cuchnął zaschłym kałem i ropą moich poprzedników. Byłem tak osłabiony, że przestałem się drapać, aby odpędzić pchły. Na biodrach, pośladkach i ramionach powtórzyły mi się rozległe odleżyny. Obciążnięta na kościach skóra była czerwona i paliła jak świeża oparzelizna. Czuję wstręt do swego ciała i nasłuchiwałem z ulgą rżenia innych ludzi. Chwilami myślałem, że uduszę się z pragnienia. Otwierałem wtedy popękane wargi i marząc o pełnym kubku zimnej kawy wpatrywałem się bezmyślnie w fragment pustego nieba leżącego za otwartym na oścież oknem. Zanosiło się na nieopogodę, ponieważ popielaty, trupi dym snuł się nisko nad dachami. Na dachach topiła się smoła i błyszczała w słońcu jak rtęć.

Kiedy mięso pośladków i pleców poczynąło wzbierać we mnie żywym ogniem, obracałem się bokiem na chropowatym sienniku i podłożywszy pięść pod ucho podnosiłem wyczekująco wzrok w stronę opuchniętego człowieka na sąsiednim łóżku, kapy nazwiskiem Kwaśniak. Obok niego na stołku stał kubek z kawą, leżało nadgryzione jabłko i poniewierał się kawałek kruszącego się chleba. W nogach łóżka, ukryte w tekturowej paczce pod prześcieradłem, dojrzewały zielone pomidory, przysłane mu przez troskliwą żonę.

Kapo Kwaśniak źle znosił bezruch. Tęsknił nostalgicznie za swoim komandem, które pracowało na babskim lagrze. Nudził się. Na krankenbau odebrano mu jedyną rozrywkę: jedzenie do syta, gdyż był chory na nerki. Jego sąsiad był Żydem, skrzyptkiem z Holandii, i samotnie umierał na zapalenie płuc. Toteż słysząc chrzęst mego siennika kapo Kwaśniak nieodmiennie podnosił się na łokciu i badawczo mrużył obrzękłe oczy.

— Wyspał się pan nareszcie — mówił ze złością, ledwie kryjąc wzbierającą w nim niecierpliwość. — Niechże pan dalej co opowiada. Człowiek prawie zdrowy, a musi leżeć jak muzułman. Dawno wybiórki nie było.

Nie zadowalały go streszczenia wulgarnych książek, historie z filmów awanturnicznych, dramaty z wielkiego repertuaru. Nie cierpiał niesamowitych opowieści osnutych na tle utworów romantycznych. Z pasją natomiast zagłębiał się w bzdurne i sentymentalne wątki, jeżeli tylko zdołałem go przekonać, że pochodzą z mojego prawdziwego życia. I w istocie, wywlokłem już na wierzch wszystko, co kiedykolwiek przeżyłem ciekawego; ciotkę, dla której kochanek-gajowy grał wieczorami na gitarze pod oknem; żywego koguta z lekcji fizyki, co, zamknięty przez nas w szafie na złość profesorowi, nie chciał piąć; dziewczynę z zajadami w kącikach ust, kojarzącą mi się dzięki pewnym przeżyciom z polskim wrześnieć etc. Opowiedziałem mu także wyczerpująco o swoich miłościach, żalując gorzko, że było ich tylko dwie. Byłem uczciwy i mówiłem w najprostszych słowach prawdę, nic, tylko prawdę. Ale czas mijał bardzo powoli, a ja miałem coraz większą gorączkę i coraz silniejsze pragnienie.

— Kiedy siedziałem w więzieniu, przyszedł do nas do piwnicy chłopiec. Powiedział, że przyprowadził go policjant. Podobno za to, że chłopiec pisał kredą na murze — zacząłem z wolna, przeciągnąłem językiem po wargach i opowiedziałem w interesującym skrócie historię chłopca z Biblią, historię, którą zresztą powtórzyłem w parę lat później w pewnej krótkiej noweli.

Chłopiec miał przy sobie Pismo święte, które czytał przez cały dzień. Nie odzywał się do nikogo, a na pytania towarzyszy odpowiadał krótko i opryskliwie. Po południu wrócił

do naszej celi pewien młody Żyd z badania. Popatrzył na chłopca i powiedział, że go widział na gestapo. „Przyznaj się — dodał — że jesteś Żydem, tak jak i ja. Nie bój się, tu sami swoi.” Chłopiec z Biblią powiedział, że go przyprowadził policjant i że nie jest Żydem. Wieczorem wyprowadzono go wraz z innymi i rozstrzelano na podwórku.

— Chłopiec ten, proszę pana — kończyłem pośpiesznie jeszcze jedną prawdziwą opowieść — nazywał się Zbigniew Namokel i jak mówił, był synem dyrektora banku.

Kapo Kwaśniak podniósł się w milczeniu i zaczął grzebać w nogach łóżka. Wydobył z paczki pomidora i trzymał go niezdecydowanie w dłoniach.

— To nie było zdarzenie z pańskiego życia — powiedział surowo, patrząc mi z ukosa w oczy. — Leżę tu trochę dłużej niż pan i — chce pan wiedzieć? On tu był w szpitalu, ten pański Zbigniew Namokel. Chorował na tyfus tak jak pan. Umarł na tym samym łóżku, na którym pan teraz leży.

Oparł się wygodnie plecami o poduszkę i przerzucał pomidora z ręki do ręki.

— Może pan wypić moją kawę, mnie i tak nie wolno — rzekł po namyśle. — Ale niech mi pan już nic nie opowiada.

Rzucił mi pomidora na koc, podsunął kubek z kawą i przechyliwszy głowę patrzył z wielkim zainteresowaniem, jak przysałem się wargami do płynu.

Śmierć Schillingera

Starszy sierżant SS Schillinger pełnił w roku 1943 obowiązki lagerführera, czyli bezpośredniego komendanta męskiego odcinka roboczego „D” na obozie w Birkenau, który należał do ogromnego zespołu większych i mniejszych lagrów, rozsiadanych po całym Górnym Śląsku i podlegających administracyjnie centralnemu obozowi koncentracyjnemu w Oświęcimiu. Schillinger był człowiekiem dosyć niskim i krępy. Miał pełną, nalaną twarz i jasne jak len włosy, gładko przyczesane do czaszki. Oczy jego były niebieskie, zawsze nieco zmrużone, wargi miał zaciśnięte i policzki z lekka podniesione w niecierpliwym skurczu. O wygląd zewnętrzny nie dbał i nigdy nie słyszałem, aby dał się przekupić przez prominentów.

Schillinger władał lagrem „D” czujnie i niepodzielnie. Jeździł bez wytchnienia rowerem po drogach obozowych, wyłaniając się niespodziewanie zawsze tam, gdzie był najmniej potrzebny. Tłukł ręką ciężko jak kijem, z łatwością kruszył szczęki i wybijał z człowieka krew.

W czujności był niezmordowany. Często wizytował inne odcinki obozu w Birkenau, wzbudzając paniczny strach wśród kobiet, Cyganów i prominentów z Effektenkammer, tj. naj-majątniejszego odcinka Birkenau, gdzie składano bogactwa

zagazowanych ludzi. Dozorował także komanda pracujące wewnątrz wielkiej postenketty, rewidując znieca ubrania więźniów, buty kapów i torby esmanów. Odwiedzał również krematoria i lubił się przyglądać, jak wpychano ludzi do komory gazowej. Nazwisko jego wymawiano razem z nazwiskami Palitscha, Krankenmanna i wielu innych morderców oświęcimskich, którzy przechwalali się, że własnoręcznie, pięścią, kijem lub bronią, zdołali zabić po kilkanaście tysięcy ludzi.

W sierpniu 1943 roku rozeszła się na obozie wieść, że Schillinger zginął wśród nie wyjaśnionych okoliczności. Podawano różne, rzekomo autentyczne relacje o wypadku, które były całkowicie sprzeczne. Osobiście skłonny byłbym wierzyć znajomemu forarbijterowi z sonderkomanda, który pewnego popołudnia, siedząc wraz ze mną na buksie, na której oczekiwaliśmy partii skondensowanego mleka z magazynu z obozu cygańskiego, opowiadał mi o śmierci starszego sierżanta Schillingera, co następuje:

— W niedzielę po apelu popołudniowym Schillinger przyjechał na dziedziniec krematorium w odwiedzinach do naszego szefa. Ale szef nie miał czasu, bo właśnie przywieziono z rampy pierwsze samochody z transportu będzińskiego. Wiesz sam, bracie, że wyładować transport i kazać mu się rozebrać, a potem zagnać go do komory — to ciężka praca, która wymaga wielkiego, powiedziałbym, taktu. Każdy wie dobrze, że zanim ludzie nie zostaną zaryglowani w komorze, nie wolno gapić się na ich klamoty, nie wolno w nich grzebać, a tym bardziej nie wolno podmacywać nagich kobiet. Już to samo, rozumiesz, bracie, że każe się kobietom obnażać wespół z mężczyznami, jest dla ludzi z cugangu porządnym wstrząsem. Stosuje się wtedy system wielkiego pośpiechu, sztucznie udaje się nawał pracy w rzekomej łaźni. Zresztą naprawdę trzeba się pospieszyć, aby zdążyć zagazować jeden transport i oczyścić z trupów komorę, zanim nadejdzie drugi.

Forarbijter podniósł się, usiadł na poduszce, spuścił nogi z buksy i zapaliwszy papierosa ciągnął:

— Więc, mieliśmy, uważasz, bracie, transport z Będzina i Sosnowca. Żydzi ci wiedzieli dobrze, co ich czeka. Chłopcy

z sonderkomanda też się denerwowali; niektórzy pochodzą z tych stron. Były wypadki, że przyjeżdżali krewni albo znajomi. Mnie samemu się zdarzyło...

— Nie wiedziałem, że jesteś z tych okolic. Po mowie nie poznać.

— Kończyłem studia pedagogiczne w Warszawie. Chyba z piętnaście lat temu. Potem wykładałem w gimnazjum będziańskim. Proponowali mi wyjazd za granicę, nie chciałem. Rodzina, uważasz, bracie. No i tak.

— No i tak.

— Transport był niespokojny, wiesz, to nie kupcy z Holandii czy z Francji, co to myśleli o założeniu interesu w obozie dla internowanych w Auschwitzu. Nasi Żydzi dobrze wiedzieli. Toteż esesmanów była cała kupa, a Schillinger, zobaczywszy, co się dzieje, wyciągnął rewolwer. Wszystko poszłoby jak należy, ale Schillingerowi spodobało się jedno ciało, rzeczywiście — klasycznie zbudowane. Pewno po to przyjechał do szefa. Podszedł więc do kobiety i wziął ją za rękę. Wtedy naga kobieta nagle schyliła się, zaczerpnęła w dłoń piasku i sypnęła mu w oczy, a kiedy Schillinger, krzyknąwszy z bólu, puścił z ręki rewolwer, kobieta pochwyciła broń i strzeliła Schillingerowi kilka razy w brzuch. Na placu powstała panika. Nadzy ludzie ruszyli na nas z krzykiem. Kobieta wypaliła jeszcze raz do szefa i raniła go w twarz. Wtedy i szef, i esesmani rzucili się do ucieczki zostawiając nas samych. Ale chwała Bogu, daliśmy sobie radę. Zagnaliśmy kijami transport do komory, zaśrubowaliśmy drzwi i zawołaliśmy esesmanów, aby wrzucili cyklon. Nabyliśmy przecież trochę wprawy.

— No, ja, wiadomo.

— Schillinger leżał na brzuchu i drapał palcami ziemię z bólu. Podnieśliśmy go i nie bardzo uważając przetransportowaliśmy do samochodu. Przez całą drogę jęczał przez zacisnięte zęby: „*O Gott, mein Gott, was hab' ich getan, dass ich so leiden muss?*”

Po polsku znaczy to: „O Boże, mój Boże, cóż ja uczyniłem, że tak muszę cierpieć?”

— Że ten człowiek nie zrozumiał do końca — powiedziałem kiwając głową. — Cóż za dziwna ironia losu.

— Cóż za dziwna ironia losu — powtórzył w zadumie forarabajter.

W istocie, cóż za dziwna ironia losu: kiedy na krótko przed ewakuacją obozu Żydzi z sonderkomanda w obawie przed rozwalką wznieśli bunt w krematoriach, podpalili budynki krematoryjne i przeciąwszy druty rzucili się do ucieczki w pole, kilku esesmanów ogniem z karabinów maszynowych wystrzelało ich wszystkich co do jednego.

Człowiek z paczką

Adolfowi Rudnickiemu

Nasz szrajber był Żydem z Lublina i przyjechał do obozu oświęcimskiego już jako doświadczony lagrowiec z Majdanka, a że znalazł bliskiego znajomego z sonderkomando, które z racji swych bogactw czerpanych z krematoriów rozporządzało na lagrze ogromnymi wpływami, od razu zaczął udawać chorego, poszedł bez żadnych trudności na *KB zwei* — tak w skrócie (od słowa: *Krankenbau II*) zwal się osobny odcinek Birkenau przeznaczony na szpital — i natychmiast dostał tam świetną funkcję szrajbera na naszym bloku. Zamiast przez cały dzień przewracać łopatą ziemię albo nosić na głodno worki z cementem, szrajber pełnił pracę kancelaryjną — przedmiot zazdrości i intryg innych prominentów, dekujących również swoich znajomych na funkcjach — przyprowadzał i odprowadzał chorych, robił apele na bloku, przygotowywał karty chorobowe i pośrednio uczestniczył przy selekcjach Żydów, które jesienią czterdziestego trzeciego odbywały się prawie regularnie co dwa tygodnie na wszystkich odcinkach naszego obozu; szrajber bowiem obowiązany był przy pomocy flegarów odprowadzić chorych do waszraumu, skąd wieczorem wywoziły ich auta do jednego z czterech krematoriów, wtedy pracujących jeszcze na zmianę. Wreszcie gdzieś w listopadzie szrajber dostał wysokiej gorączki, o ile

sobie przypominam — z przeziębienia, i ponieważ był jedynym chorym Żydem na bloku, przy pierwszej selekcji został wyznaczony *zur besonderen Behandlung*, czyli do gazu.

Zaraz po wybiórce starszy flegger, zwany przez grzeczność blokowym, udał się na blok czternasty, gdzie leżeli prawie wyłącznie Żydzi, aby utargować, że odstawimy do nich naszego szrajbera wcześniej i w ten sposób pozbędziemy się nieprzyjemnego kłopotu odprowadzania go osobno do waszraumu.

— Ferlegujemy go *auf vierzehn, Doktor, verstehen?* — rzekł wróciwszy z czternastki do naczelnego lekarza, który siedział przy stole ze słuchawkami w uszach. Opukiwał bardzo starannie plecy świeżo przybyłego pacjenta i wypisywał mu kalgigraficznym pismem kartę chorobową. Doktor machnął ręką nie przerywając pracy.

Szrajber siedział w kucki na górnym łóżku i pieczołowicie obwiązywał sznurkiem tekturowe pudełko, w którym trzymał buciki czeskie, sznurowane aż po kolana, łyżkę, nóż, ołówek oraz tłuszcze, bulki i owoce, które dostawał od chorych za rozmaite szrajberskie usługi, podobnie jak to czynili prawie wszyscy żydowscy lekarze i fleggerzy na KB; w przeciwieństwie przecież do Polaków, nie dostawali oni od nikogo żadnych paczek. Zresztą Polacy, którzy dostawali na KB pomoc z domu, także brali od chorych zarówno tytoń, jak i jedzenie.

Naprzeciwko szrajbera stary major polski, nie wiadomo dlaczego trzymany na bloku od kilku miesięcy, grał sam ze sobą w szachy, zatkawszy kciukami uszy, pod nim nachtwacha odlewał się leniwie do szklanej kaczki i zaraz zakopał się w kołdrę. Na dalszych sztubach pocharkiowano i kaszlano, w piecyku ostro skwierczała słonina, było duszno i parno, jak zwykle przed wieczorem.

Szrajber zeszedł z łóżka i wziął paczkę do ręki. Blokowy podał mu szorstko koc i kazał nałożyć na nogi trepy. Wyszli z bloku, widać było przez okno, jak przed czternastką blokowy zdejmuje koc z ramion szrajbera, zabiera mu trepy i klepie go po plecach, szrajber zaś, odziany już tylko w nocną koszulę, którą podwiewał wiatr, wchodzi w towarzystwie innego fleggera do bloku czternastego.

Dopiero przed wieczorem, kiedy rozdano na sztabach porcje, herbatę i paczki, flegery poczęli wyprowadzać muzułmanów z bloków i ustawiać po pięciu przed drzwiami, zdzierając z nich koce i pantofle. Na lagrze pojawił się dyżurny esesman i kazał flegerom utworzyć przed waszraumem łańcuch, aby nikt nie uciekł; tymczasem na blokach spożywano kolację i gmerano w świeżych paczkach.

Widać było przez okno, jak nasz szrajber wyszedł z czternaście z paczką w rękę, ustawił się w piątce na swoim miejscu i poganiany krzykiem flegerów powłókł się z innymi do umywalni.

— *Schauen Sie mal, Doktor!* — zawolałem do lekarza. Zdjął słuchawki, podszedł ociężałym krokiem do okna i położył mi dłoń na ramieniu. — Mógłby okazać trochę więcej rozsądku, nie myśli pan?

Na dworze już ciemniało, widać było białe koszule poruszające się przed blokiem, twarze ludzi były niewyraźne, przeszli w bok, zniknęli z pola widzenia; zauważyłem, że nad drutami zapaliły się lampy.

— Przecież wie doskonale, stary lagrowiec, że za godzinę czy dwie pójdzie do gazu nagi, bez koszuli i bez paczki. Co za niesamowite przywiązanie do resztki własności. Mógłby przecie oddać innemu. Nie wierzę, żebym ja...

— Myślisz tak naprawdę? — zapytał obojętnie doktor. Zdjął rękę z moich pleców i ruszał szczęką, jakby wysysał językiem dziurawy ząb.

— Proszę wybaczyć, *Doktor*, ale nie sądzę, żeby pan... — rzekłem mimochodem.

Doktor pochodził z Berlina, miał córkę i żonę w Argentynie i mówił niekiedy o sobie: *wir Preussen* — z uśmiechem, w którym bolesna gorycz Żyda mieszała się z dumą byłego pruskiego oficera.

— Ja nie wiem. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym szedł do gazu. Pewnie także wziąłbym ze sobą swoją paczkę.

Obrócił się do mnie i żartobliwie się uśmiechnął. Zobaczyłem, że był bardzo zmęczony i niewyspany.

— Myślę, że nawet gdybym jechał do komina, to z pewnością wierzyłbym, że po drodze coś się stanie. Trzymałbym paczkę jak cudzą rękę, wiesz?

Odszedł od okna i usiadłszy przy stole kazał ściągnąć z łóżka innego chorego; przygotowywał na jutro abgang uzdrowieńców na lager.

Chorzy Żydzi napelniali waszraum wrzaskiem i jękiem, chcieli podpalić budynek, ale żaden z nich nie śmiał tknąć sanitarnego esesmana, który siedział w kącie z przymkniętymi oczyma i albo udawał, że drzemie, albo drzemał naprawdę. Wczesną nocą zajechały na lager potężne ciężarówki krematoryjne, nadeszło kilku esesmanów, kazano Żydom zostawić wszystko w waszraumie i flegery poczęli wrzucać ich nagich na auta, aż na ciężarówkach urosły potężne zwały ludzi, którzy płacząc i zlorzecząc, oświetleni reflektorami, odjeżdżali z lagru, rozpaczliwie trzymając się jeden drugiego rękoma, aby nie zlecieć na ziemię.

Nie wiem dlaczego, mówiono później na lagrze, że odjeżdżający do gazu Żydzi śpiewali po hebrajsku jakąś wstrząsającą pieśń, której nikt nie mógł zrozumieć.

Kolacja

Czekaliśmy wszyscy cierpliwie, aż nastanie zupełny mrok. Słońce zapadło już głęboko za wzgórze, na świeżo zoranych stokach i dolinach, pokrytych miejscami brudnym śniegiem, kładły się coraz gęstsze cienie, pełne mlecznej wieczornej mgły, ale na obwisłym podbrzuszu nieba, nabrzmiałym deszczowymi chmurami, snuły się jeszcze gdzieś różowe pasma zachodu. Nasycony wonią rozmokłej, skisłej ziemi, porywisty i jakby ciemniejący wiatr gnał przed siebie skłębione obłoki i jak lodowate ostrze przenikał aż do żywego ciała; samotny kawałek papy, naderwany silniejszym podmuchem, klekotał monotownie na dachu. Z łąk ciągnął rzeński, ale przejmujący chłód, w dolinie koła wagonów szczękały o szyny i lokomotywy pohukiwały jękliwie. Zapadał wilgotny zmierzch, głód dokuczał coraz dotkliwiej, na szosie ruch powoli zamierał. Coraz rzadziej wiatr przynosił stamtąd strzępy rozmów, pokrzykiwania woźniców, urywany turkot wózków zaprzężonych w krowy szurające leniwie racicami po żużlach ścieżki; oddalał się klekot drewnianych chodaków po asfalcie i cichły gardłowe śmiechy wiejskich dziewcząt ciągnących wesoło do miasteczka na sobotnią zabawę.

Wreszcie mrok zgęstniał aż nadto dostatecznie i zaczął kropić rzadki deszcz. Fioletowe lampy, chwiejące się na wy-

sokich słupach, rzucały przyćmione światło na czarne, splecione gałęzie przydrożnych drzew, na błyszczące daszki budek strażniczych, na opustoszałą drogę lśniąca jak mokry rzemień; żołnierze przemaszerowali pod ich blaskiem, zniknęli w ciemności, słychać było coraz bliższy chrzęst żwiru pod nogami.

Wtedy szofer komendanta puścił splaszczony, zasłonięty okapem strumień reflektorów na przejście między blokami i dwudziestu ubranych w pasiaki Rosjan, z rękami związanymi na plecach drutem kolczastym, wyprowadzili blokowi z umywalni i spędzili ich po wale; ustawiono ich na kamieniach ulicy obozowej bokiem do tłumu, który z odkrytymi głowami stał nieruchomo od wielu godzin, cierpiąc w milczeniu głód. Oblane ostrym blaskiem ciała Rosjan stapały się jakby w jedną bryłę mięsa, okrytą drelichem i pokrytą cieniem; każda zmarszczka, wypukłość i fałda ich ubrania; pękające podeszwy znożonych butów; ściosy na flekach; przyschnięte grudki rudej gliny na obrzeżkach spodni; grube szwy w rozkroczu; białe nitki przewijające się w sinych pasach drelichów, obwisłe płyty pośladków; naprężone dłonie o zbielejących palcach, skurczonych z bólu, z kroplami zakrzepłej krwi w zgięciach stawów; napięte ścięgna na przegubach, na których skóra siniąła od wpijającego się w nią zardzewiałego drutu; nagie łokcie ściągnięte nienaturalnie ku sobie drugim drutem — wyrzynały się z ciemności wyraźnie, jakby zamrożnięte; plecy i głowy Rosjan rozmazywały się w mroku, tylko nieco bielsze, bo wygolone karki jaśniały znad kołnierzy kurtek. Wydłużone cienie tych ludzi leżały na drodze, na drutach kolczastych migocących kropelkami rosy i gubiły się za drutami na stoku wzgórza porośłego rzadkim, zeschniętym, szeleszczącym sucho szuwarem.

Komendant obozów, szpakowaty, ogorzały oficer, który specjalnie na ten wieczór przybył z miasta do lagru, zmęczonym, ale energicznym krokiem przeszedł przez smugę światła i stanawszy z boku stwierdził, że oba szeregi Rosjan znajdują się w należytej odległości od siebie. Teraz sprawa potoczyła się szybko, jednakże nie tak szybko, jak by tego życzyło sobie zziębnięte ciało i zgłodniały żołądek, czekający od siedemnastu godzin na pół litra na pewno jeszcze ciepławej zupy, stojącej w kotłach w baraku. — Nie myślijcie, że to nic! — krzy-

knął młodziutki lagerältester, który wysunął się spoza komendanta. Jedną dłoń miał założoną za klapę prominenckiej kurtki szytej z czarnego sukna, specjalnie do figury, w drugiej trzymał szpicrutę wierzbową, którą chlastał rytmicznie po cholewach butów.

— Ci ludzie, oni są przestępcy. Nie muszę wam powiedzieć, co i jak. Komuniści, no nie? Pan komendant kazał mi przetłumaczyć, że zostaną oni przykładnie ukarani, a jak pan komendant mówi... No, chłopcy, ja wam radzę, uważajcie, nie?

— *Los, los*, jesteśmy w pośpiechu — rzekł półgłosem komendant do oficera w rozpiętym płaszczu. Stał oparty biodrem o błotnik małej Skody i ścigał leniwie rękawiczkę z dłoni.

— To nie śmie trwać długo — odpowiedział porucznik w rozpiętym płaszczu. Strzepnął niedbale palcami i uśmiechnął się kącikiem ust.

— *Ja*, a cały obóz będzie znowu pozbawiony dzisiaj obiadu — krzyknął młodziutki lagerältester. — Blokowi odniosą zupę do kuchni i niech mi brakuje choć litr, to ja wam już po-brakuję, no nie, chłopcy?

Po tłumie przeleciało głębokie westchnienie. Powolutku, powolutku tylne szeregi poczęły podsuwać się ku przodowi, przy drodze zrobiło się ciasno i błogie ciepło rozlało się od pleców, ogrzanych przez stłoczonych, gotujących się do skoku ludzi.

Komendant skinął dłonią i zza jego samochodziku wyszli gęsiego esesmani z karabinami w rękę i z widoczną wprawą ustawili się za Rosjanami, każdy za swoim. Nie znać już było po nich, że wrócili z komanda wraz z nami, zdążyli już najeść się i przebrać w odświeżone, świeżo prasowane mundury, a nawet zrobić sobie manicure; zaciskali palce na kolbach i krew różowiła równiutko obcięte paznokcie; widocznie wybierali się do miasteczka na zabawę z dziewczętami. Zarepetowali z trzaskiem broń, oparli kolby o biodro i przytknęli lufy do wygolonych karków Rosjan.

— *Achtung, bereit, Feuer!* — powiedział komendant nie podnosząc głosu, szcęknięły karabinki, żołnierze odskoczyli krok w tył, aby nie obryzgały ich roztrzaskiwane głowy. Rosjanie zachybotali się na nogach i jak ciężkie wory z mlaskiem

runęli na kamienie oblepiając je krwią i kawałami rozpryszłych mózgow. Zarzuciwszy karabinki na plecy żołnierze odeszli pośpiesznie na wartownie, trupy zostały prowizorycznie odciągnięte pod druty, komendant wsiadł w towarzystwie świty do Skody, która prychając kłębamii dymu podsunęła się tyłem do bramy.

Ledwie szpakowaty, ogorzały komendant zdążył szczęśliwie odjechać, milczący tłum, który napierał coraz natargywiej na drogę, wybuchnął ponurym jazgotem, runął lawiną na okrwawione kamienie, przekotłował się po nich z wrzaskiem i rozpędzony pałkami blokowych i sztubowych, zwolanych z całego lagru, rozsypał się chyłkiem po blokach. Stałem nieco z boku od miejsca egzekucji i nie mogłem dodrapać się na czas, ale gdy nazajutrz wygnano nas znów do roboty, zmuzułniały Żyd z Estonii, który nosił wraz ze mną rury, przez cały dzień zapewniał mnie żarliwie, jakoby mózg ludzki naprawdę był tak delikatny, że można go jeść bez gotowania, zupełnie na surowo.

Milczenie

Dopadli go w bloku kapów niemieckich, w chwili gdy już przesadzał nogę przez parapet okna. Bez słowa ściągnęli go na podłogę i dysząc z nienawiści wywlekli na boczną drogę obozową. Tam, ciasno otoczeni milczącym tłumem, poczęli go tłamsić dziesiątkami zachłannych rąk.

Wtem od bramy obozu podano z ust ostrzegawcze okrzyki. Po głównej drodze obozowej biegli pochyleni do przodu żołnierze z bronią, omijając stojące im na drodze grupki ludzi w pasiakach. Tłum pierzchnął sprzed domku kapów niemieckich i skrył się na swoich blokach — zatłoczonych, śmierdzących i gwarnych. Na dymiących piecach gotowano tam wszelakiego rodzaju jadlo zagrabione w nocy u okolicznych bauerów, na pryzkach i między nimi mielono zboże w młynkach, czyszczono na blatach mięso z żył, obierano kartofle zrzucając obierki wprost na ziemię, grano w karty o sterty kradzionych cygar, mieszano ciasto na placki, pożerano łapczywie parujące kasze i bito beznamiętnie pchły. Duszące, jakby przepocone zapachy kotłowały się w powietrzu, zmieszane z wonią jadła, dymem i parą wodną, która skraplała się na belkach dachu i opadała na ludzi, sprzęty i jadlo monotonnie jak rzadki deszcz. Przy drzwiach zakłębiło się, do bloku wszedł młodziutki oficer amerykański w tekturowym helmie

na głowie i rozejrzał się przyjaźnie po pryczach i stołach. Miał na sobie ślicznie zaprasowany mundur. Rewolwer w otwartej pochwie zawieszony był na długich rzemieniach i obijał się młodemu żołnierzowi po udach. Oficerowi towarzyszyli tłumacz z żółtą opaską „interpretera” na rękawie cywilnego garnituru oraz prezes Komitetu Więźniów, który ubrany był w białą letnią marynarkę, spodnie do fraka i tenisowe pantofle. Ludzie na bloku umilkli i patrzyli uważnie w oczy oficera, wychylając się z prycz i podnosząc głowy znad saganów, misek i menażek.

— *Gentlemen* — powiedział oficer zdejmując helm z głowy, a tłumacz natychmiast tłumaczył zdanie po zdaniu — wiem dobrze, że po tym, co przeżyliście i widzieliście, nie nawidzicie głęboko waszych oprawców. My, żołnierze z Ameryki, i wy, ludzie z Europy, biliśmy się po to, aby prawo zapanowało nad bezprawiem. Musimy szanować prawo. Powinniście wiedzieć, że wszyscy winni będą ukarani, tak w tym obozie, jak i we wszystkich innych. Już teraz macie przykład, że schwytani esesmani użyci zostali do grzebania trupów.

— Rzeczywiście, można by było na plac za szpitalem. Jeszcze wszystkich nie wywieźli — szepnął jeden na dolnej pryczy.

— Albo do którego ze schronów — odrzekł szeptem drugi. Siedział okrakiem na pryczy, wpijając dłonie w koc.

— Trzymajcie pysk! Czasu nie macie? Słuchajcie, co mówi pan oficer — odezwał się półgłosem trzeci, który leżał w poprzek na tej samej pryczy. Nie widzieli oficera, bo go zasłaniał szczelnie zbity tłum, który się skupił po tej stronie bloku.

— Koledzy, pan komendant daje słowo honoru, że wszyscy przestępcy obozowi, zarówno esesmani, jak *häftlindzy*, będą sprawiedliwie ukarani — rzekł tłumacz. Ze wszystkich prycz odezwały się oklaski i okrzyki. Gestami i śmiechem starano się wyrazić młodemu mężczyźnie zza oceanu swoją sympatię.

— Dlatego pan komendant prosi was — mówił dalej tłumacz schrypniętym nieco głosem — żebyście byli cierpliwi i nie popełniali bezprawia, bo to się będzie mścić na was, tylko przekazywali draniów w ręce warty obozowej, dobrze?

Blok odpowiedział jednym przeciągłym okrzykiem. Komendant podziękował tłumaczowi i życzył więźniom dobrego

wypoczynku i rychłego odnalezienia najbliższych. Żegnany przyjaznym gwarem, opuścił blok i udał się do następnego.

Dopiero wtedy gdy obszedł tak wszystkie bloki i w towarzystwie żołnierzy wrócił do budynku komendantury, ściągaliśmy tamtego z pryczy, na której, obłożony kocami i przyduszony przez nasze ciała, leżał zakneblowany, z twarzą wbity w siennik, wywlekliśmy go na betonową podłogę pod piec i wśród ciężkich, nienawistnych posapywań całego bloku zadeptaliśmy go tam na dobre.

Spotkanie z dzieckiem

Odnalazłszy wypatrzone za dnia wyłobienie w wale za barakami, przeleźli obaj ostrożnie pod kolczastym drutem, chroniąc rękawem oczy i szorując plecami po żwirze. Stoczyli się z wału i przewróciwszy się na brzuch wpełzli opierając się na łokciach w wysoką trawę, prześwietloną czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Pod narożną wyżką siedział w budce, oblepionej żółtymi plakatami *Off Limits*, żołnierz amerykański — tekturowy hełm i automatyczny karabinek leżały obok niego na ławce. Z desek wyżki odrywały się olbrzymie krople i uderzały głucho w popiół wygasłego ogniska z nocy.

Kiedy osądzili, że są w bezpiecznej odległości od drutu, usiedli na kępie i obrali starannie pasiaki z grudek lepkiej gliny oraz zeskrobali nożami brązowe plamy na kolanach i łokciach. Wreszcie dźwignęli się na nogi i posuwistym krokiem poczęli brnąć przez podmokłą łąkę w stronę szosy, omijając opuszczone bunkry, rozbite stanowiska artylerii i okrążając wielkim łukiem obóz, z którego terenu podnosiły się niebieskie dymy wieczornych ognisk, dobiegał trzask łamanych desek i gwar tysięcy ludzi.

— Wiatr idzie na nas, trupami czuć — powiedział wyższy, z węzłkiem w ręku, gdy obeszli pole przed szpitalem, pełne trupów leżących między sągami drzewa. Miał obrzękłą, ospo-

watą twarz i był albinosem. Rzadkie włosy sterczały na jego czaszce sztywne jak sierść. Przez środek głowy ciągnął się pas ostrzyżonej skóry. Przykrótkie rękawy obozowej marynarki ukazywały żylaste, piegowate, owłosione ręce. Pociągnął nosem: — Nie zdążyli spalić.

— Rzec wiadoma — rzekł niższy. Głos miał zachrypły, co chwila spluwał przez wybite zęby. Obrośnięty był czarną szczecina, wystrzyżoną przez środek głowy. Na srebrnym plu-szu trawy, mokrej od niedawnego deszczu, ciągnęły się ciemne, kręte ścieżki. Dodał rzeczowo: — Patrzaj, już szli przed nami. Dobiorą się do wagonów.

— Spokojna twoja głowa, starczy i dla ciebie — powiedział wyższy. Schodzili w dół szosy, pod wydłużonym cieniem kasztanów, w kierunku osiedla willowego położonego za torem kolejowym, na którym stały rzędy wagonów bez lokomotyw.

Dolina otoczona była czarnym lasem świerkowym, za który zapadało miedziane słońce. U skraju lasu, na dnie doliny, wśród zakwitłych ogrodów, w ciemniejszej zieleni, bujnej, rozrosłej, świecącej kulkami i igielkami srebrnego deszczu — rozpościerały się jak na dłoni i świeciły różowym tynkiem jednorodzinne wille z okrągłymi kolumnkami. Niebo stało nad doliną przejrzyste, powiewne, jakby z jedwabiu, z wolna zaciskające się chłodem. Tylko po zalesionym zboczu gór sunęły rzadkie, siwe mgły i rozwiewały się wśród świerków.

— Masz twoje wagony, najedz się — rzekł niższy. Minęli pole młodziutkich ziemniaków i wyszli na tor kolejowy. Wagony były otwarte, pełne zsiniałych ciał, poukładanych porządnie nogami do drzwi. Na wierzchu leżała warstwa dzieci, obrzękłych i białych jak wykrochmalone poduszki.

— Nie zdążyli spalić — rzekł wyższy. Przeskoczyli przez druty sygnalizacyjne i przeraczkowali pod wagonem.

— Rzec wiadoma — rzekł niższy. Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się zaciskając wargi. Znow przeskoczyli przez druty sygnalizacyjne, ześliznęli się z nasypu i klucząc między ogrodami zeszli na samo dno doliny, do oficerskich will.

Kolonia, zbudowana rękami więźniów dla wyższych oficerów obozu i ich rodzin, była pusta i gdyby nie ślicznie utrzymane ogródki, zasunięte bielutkimi firaneczkami okna i dym

pnący się z kominów w niebo — mogłoby się здаwać, że jest ona wymarła.

Przeszli przez główną aleję i skręcili na boczną ścieżkę pod lasem. Przez wyrwę w górach świeciło jeszcze słońce, na skraju cienia obok samotnej willi spoczywała na leżaku kobieta w kwiecistym szlafroku. Nad karkiem włosy jej związane były w ciężki, klasyczny węzeł. Obok niej kędzierzawa dziewczynka w niebieskiej sukieneczce bawiła się lakierowanym wózkiem, w którym leżała lalka.

Zatrzymali się na ścieżce i spojrzeli po sobie przymrużonymi oczyma. Uśmiechnęli się jeden do drugiego, nie rozszerzając warg. Przenieśli wzrok na główkę dziecka, objęli ją wzrokiem miękko i dokładnie, jak dłońmi. Potem odnaleźli oczyma ostry róg willi, przedzielonej trawnikiem od ścieżki, i znów spojrzeli na dziecko. Wyższy uczynił krok naprzód i wtedy cień jego głowy padł na nogi kobiety i podsunął się ku jej piersiom.

Kobieta podniosła wypukłe oczy i rozchyliła usta. Górna jej warga podkurczyła się jak u królika. Złapawszy jej spojrzenie dwaj chłopcy uśmiechnęli się szerzej i, kołyszac się obozową modą w biodrach, ruszyli bez pośpiechu w stronę dziecka.

Koniec wojny

Przy ocienionej platanami autostradzie wznosił się betonowy, nagi masyw koszarowej budowli. Wielki upał rozżarzał i wysuszał na popiół powietrze. Z otworów poddasza kłębamii unosił się dym, śmierdziało wywarem z baraniny. Na trawnikach pod oknami chrupały odłamki szkła; wałały się strzępy książek; dzwoniły hełmy potrącane nogami; pękały z hukiem, jak purchawki, torby z białym gryzącym proszkiem, który rozwiewał się w powietrzu; zbutwiałe wiązki czarnych krawatów żołnierskich wylatywały z okien wraz ze stołami, przyczmami i szafami i uderzały w ziemię glucho, jak w brzuch. Ciężarowe traki amerykańskie wjeżdżały z rykiem w bramę pilnowaną przez obojętnych żołnierzy, eleganckich jak z igły, i wyrzucały na beton podwórza tłumy mężczyzn w poszarpanych ubraniach, kobiet w kraciastych chustkach na głowie, dzieci, tłumoki i toboły, zwożone z okolicznych obozów, fabryk i gospodarstw. Tłum rozkładał się leniwie na placu, rozniecał wielkie ogniska do ugotowania obiadu i z tępą nienawiścią gospodarował we wnętrzu koszar, metodycznie wybijając szyby, tłukąc lustra, żyrandole i fajanse, niszcząc urządzenia szpitala, kina i magazynów, wywalając na podwórze książki z biblioteki i stopy legitymacji partyjnych znalezionych w archiwum, demolując pokój po pokoju, izbę po izbie, ko-

rytarz po korytarzu, ustęp po ustępie, piętro po piętrze — pomieszczenia swoich dozorców; ciężarówka zaś wyjąc i charcząc wypadały na autostradę i przejechawszy obok prowizorycznego obozu dla esesmanów, którzy pod czujną, ale przyzwoitą strażą posługiwali cały dzień przy gruzach w mieście, wyrwały pełnym gazem na punkty zborne po nowy towar. Roześmiani Murzyni przyjaźnie kiwali zza kierownicy do przechodzących dziewcząt niemieckich. Dziewczęta uśmiechały się powściągliwie i długo patrzyły za kolumną aut.

Tuż przy koszarach, oddzielone od obozu esmańskiego autostradą, leżało podmiejskie osiedle robotnicze. Wśród bujnej zieleni błyszcząły małe domki o kredowych ścianach oplecionych młodym bluszczem, o różowych dachach nakrytych niebem z kobaltu, rozrosłe kasztany kładły na nie soczyste plamy cienia. Przy okienkach, zasnutych drobnymi firaneczkami, kwitły zamasyżście słoneczniki; wątła fasola wiła się po tykach; anemiczne różyczki zwisały znad furtek, brzoskwiniowe ich płatki drżały w ciszy. W gąszczu malin, na werandach i w altanach migają jasne suknie kobiet, potrącane kwiaty chwieją się na wysokich łądogach. Szczeka piaskliwie jamnik, pracują w ogródku mężczyźni w szelkach, po drodze idą zadumane dzieci terkocząc kijem po sztachetach.

W głębi osady, przed placykiem wyłożonym płytami i otoczonym kwitnącym żywopłotem, znajdował się mały kościółek. Schody z szarego kamienia — prawie brązowe w cieniu, który je przecinał na ukos; winograd spływał z dachu i chwiały się jak zielone sopte, wśród nich prosty krzyż z czarnego marmuru; nad żelaznymi drzwiami werset ciosany w kamieniu gotyckimi literami. W rozedrganym powietrzu kładł się łagodny, kojący zapach kwiatów z kościelnego ogrodu. Nad kościołem przeleciał z wyciem i traskiem dwumotorowy bombowiec, błysnął w skręcie srebrnym podbrzuszem i zniknął za drzewami, pozostawiając w uszach dzwoniącą ciszę.

Kamienne wnętrze kościółka było przytulne i chłodne jak altana. Strzeliste, podobne do złożonych dłoni sklepienie oplecione było złotymi i purpurowymi gałązkami ornamentów. W okrągłych witrażach blask słoneczny rozszczepiał się tęczo i osiadał na ścianach kościoła jak na szklanej kuli. Nad ołtarzem okrytym białym obrusem, spoza wysokich kwiatów,

wychylał się z obrazu anioł z mosiężną trąbą, wydymał pyzate policzki i podtrzymywał dłonią niebieską szatę, którą rozwiewał mu wiatr. Na środku kościółka, oparta o okrągły filar, stała na drewnianym słupie okrągła amboneczka, lekka jak bombonierka. Stalle były także z drzewa, wyglaskane ludzką ręką. Na haczykach przed siedzeniami wisiały poduszeczki do klęczenia.

Jedna ściana kościoła była pusta, bezbarwna i surowa. Od-sunięto od niej ławy, wyłożono posadzkę dywanem i okryto ciętym i doniczkowym kwieciem, różami, nasturcją, gladiolusami, goździkami, liliami, piwonią, mirtem i tulipanami; kwiaty tętniły barwą i urzekały zapachem. Woskowe świece paliły się równo i spokojnie, nie zmacone niczym oddechem. Pod ścianą stały drewniane krzyże zaopatrzone w tabliczki i fotografie na emalii. Z fotografii patrzyły proste, uczciwe, żołnierskie oczy, usta mężczyzn były ściągnięte z powagą, na piersiach czerniały żelazne krzyże, a na kołnierzach błyszcząły srebrzyste naszywki SS. Napisy głosiły, że oto synowie i bracia, i mężowie, i ojcowie polegli w dalekich stepach Rosji i w górach Jugosławii, i na pustyniach Afryki, i gdziekolwiek indziej i że ich matki i siostry, i żony, i córki modlą się za nich, i że pamiętają ich, i oby Bóg dał im szczęśliwy wiekuisty żywot.

«Independence Day»

Publicyście Kazimierzowi Koźniewskiemu

Brudny człowiek, czarny od dymu i sadzy, która wraz z potem sphywała po jego błyszczącej, nabrzmiałej krwi twarzy, krzątał się pracowicie w rozwalonej pociskiem izbie na strychu poniemieckich koszar i niewybrednie klnąc usiłował gwałtownym dmuchaniem podsycić niemrawy ogień. Żelazny piecyk przyciągnięty od baura, pozbawiony był rury i za każdym dmuchnięciem buchał mlecznym kłębem dymu, który rozlewał się po izbie jak gęsta ciecz. Na zardzewiałej blasze pieca piekły się rzędem okrągłe placki z kartoflanych platków.

W rozbitych drzwiach izby pojawił się wysoki i dystyngowany pan z białą-czerwoną opaską na ramieniu. Wszedłszy w dym zakrztusił się gwałtownie i kaszlnął.

— Wynoście się stąd, kolego! — zawołał żartobliwie. — Jazda z takim ogniem! Całe koszary nam spalicie? Przecież słyszeliście o zakazie gotowania po kryjomu? No więc jak? Prawdziwy Polak tak nie postępuje! *Go on!* — wykrzyknął po angielsku, z lekka zniecierpliwiony.

Brudny podniósł się znad ognia, otarł rękawem twarz, przyjrzał się spod oka dystyngowanemu i odrzekł, spokojnie zeskrobując spaleniznę z blachy:

— Daj więcej jeść, sobaczy synu, to gotować nie będę. Myślisz, że mi smakuje? Na, spróbuj! — i pod nos podetkał

mu parujący zgniłym zapachem placek. — A widzisz? Jakbyś nie kradł, tobym nie gotował, nie bój się. Masło nasze żresz łyżkami, a placków mi żałujesz?

— Słuchajcie, kolego, nie obrażajcie mnie — powiedział tamten. — Ależ tu dym gryzie! Nie lepiej to pobyć na świeżym powietrzu?

— Kto zżera przydziały i Żydówkom mięso nosi, temu i świeże powietrze smakuje. A mnie i tu dobrze. Kogo gryzie — droga wolna.

Człowiek z opaską na ramieniu chwycił brudnego brutalnie za kłapy marynarki, poderwał znad pieca i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zobaczmy, czy gdzie indziej nie będzie ci lepiej!

Jednocześnie na progu izby ukazał się inny człowiek z opaską, krępy, o niskim czole i kwadratowej szczęce, i wszedł bez zastanowienia w dym.

— A to skurwysyn — rzekł śpiewnie sam do siebie.

Po chwili wyszli z dymu wszyscy trzej. Zniknęli za zakrętem korytarza, zostawiwszy nie zagaszony ogień i nie dopieczone placki. Zeszli zgodnie po schodach, lecz na parterze drogi ich się rozeszły. Wysoki człowiek z opaską poszedł korytarzem w lewo, rzekłszy uprzednio do towarzysza:

— Kolego, wy go bądźcie tak dobrzy odprowadzić na bramę i opowiedzcie panu master-sierżantowi, że chciał policję pobić, ja zaś skoczę pobrać kielbasę i chleb. Zdaje się, że są na zagranicę listowe blankiety, trzeba parę zorganizować od wypadku.

Krępy odrzekł, marszcząc silnie czoło, tak że znikło pod krótko ostrzyżonymi włosami:

— Dam se rade, kolego. Spokojna wasza głowa. A ty, kaczy synu, nie próbuj uciekać, bo ci gnaty połamię.

Szarpnął brudnego za wykręconą rękę. Brudny zaklął plu-gawie. Przeszli przez betonowy plac i dotarli do bramy. W budynku przy bramie mieścił się bunkier. Na placyku przed bunkrem wyprostowany żołnierz wciągał na maszt chorągiew amerykańską. Kilku żołnierzy salutowało uroczyście, porzuciwszy piłkę od palanta i gumowe rękawice do jej chwywania. Zanim tamci znikli w budynku, żołnierze powrócili do prze-rwanej gry.

Z okazji „Independence Day” master-sergeant wypuścił z bunkra wszystkich przestępców; brudny był pierwszy po amnestii. Zaprowadzono go do samotnej celi i zostawiono samego na tydzień. Człowiek usiadł w kucki na kamiennej podłodze i spoglądał w wąską szparę okna otwartego na dziedzińcu. Miało się już ku wieczorowi. Drzewa siniały i powietrze ściśniało się mrokiem. Pod drzewami spacerowały zakochane pary. Byli to kucharze, którzy kupowali dziewczęta za jedzenie podkradane w kuchni. Brudny człowiek wstał, wydobyl z kieszeni kawałek ołówka, obtarł go o spodnie i, wypychając językiem policzek, starannie wypisał na chropowatej ścianie drukowanymi literami:

„Dwa razy w bunkrze:

21.9.1944 — 25.9.1944 — za sabotaż przy pracy w niemieckim KL Dachau, polegający na pieczeniu placków kartoflanych.

4.7.1945 — za naruszenie przepisów porządkowych w amerykańskim obozie zbornym dla b. heftlingów z KL Dachau, polegające na pieczeniu placków kartoflanych.”

Po czym podpisał się z rozmachem i, oparłszy się łokciami o parapet, patrzył z zazdrością na podwórze, po którym spacerowały dziewczęta z kucharzami.

Opera, opera

Po krótkiej uwerturze pluszowa kurtyna znowu uniosła się do góry. Złotawy blask reflektorów zalewał kamienie podwórza więziennego, otoczonego ponurymi murami z dykty. Teatralnie ostry cień okrywał wejście do piwnic, skąd wydobywał się głuchy tupot ludzkich nóg, potęgowany umiejętnie basami orkiestry. Dyrygent w czarnym fraku stał bokiem do sceny, oświetlonej od dołu trupim woskowym światłem. Twarz jego była żółta, a na wpół otwarte usta i zapadnięte oczy były sine, jakby wyschłe. Ręce jego chwiały się i drgały poetycznie w takt muzyki, jak gałęzie na porywistym wicherze. Przebrana za mężczyznę śpiewaczka wtulona była w kąt muru więziennego. Dozorca, który stał obok niej, miał na sobie kapotę do kolan, fałszywą łysinę na głowie i trzymał w ręku pęk prawdziwych, żelaznych kluczy.

Przechyliłem się na fotelu i oparłem łokieć o poręcz obitą sukнем. Nozdrza mi drgały odruchowo. Słodkawy zapach włosów mieszał się z drażniącym odorem skóry, wonią pudru i lawendy. Czuję koło policzka ciepły kobiecy oddech.

— Ależ to piękne — szepnąłem pełen podziwu dla mimowolnego kontrastu subtelnych cieni i światła, jakimi grały widownia, orkiestra i scena.

— *O ja, das ist wunderschön* — odszepnęła skwapliwie ko-

bieta. Odwróciła do mnie głowę i uśmiechnęła się czule. Miała szkliste, perłowe zęby. Jedno jej oko zachodziło jakby mgłą — nadawało to jej twarzy odcień wiecznego zawstydzenia. Patrzyłem na nią przez zmruczone oczy, marszcząc nieznacznie brwi.

— *Bist du vielleicht böse?* — zapytała szeptem, nagle zaniepokojona. Zamrugnęła powiekami i pogłaskała koniuszkami palców moją dłoń. Rzędy ludzkich głów, kobiecych, żołnierskich i urzędniczych, wychylały się z półmroku u naszych nóg. W łóżach na tle czarnych kotar świeciły oficerskie szare twarze o ziemistych oczodołach.

— *Aber wo? Warum soll ich denn?* — wyciągnąłem z kieszeni tabliczkę czekolady i podałem kobiecie do gryzienia. Ułamała kawałek, resztę wsunąłem z powrotem do kieszeni. Cynfolia zaszeleściła mi w palcach sucho jak rozdierana gazeta.

Dyrygent zwiesił ręce i muzyka złagodniała, prawie ucichła. Kroki z podziemia rosły i odbite piwnicznym echem niosły się po całym teatrze. Czuć było w nich przejmujące znużenie, strach i tęsknotę. Muzyka podniosła się spazmatycznie i naraz umilkła. I wtedy z wilgotnej czeluści wyczołgał się przez drzwi piwnicy mrowiący się kłęb ciał i wypełznął jak lepka plazma na środek podwórza, na pełne słońce. Zakuty jakby w jeden łańcuch, okryty jakby jednym zgnitym łachmanem, kłęb podniósł jedną — zdawało się — przeraźliwie ślepą twarz ku słońcu i wyciągnął w niebo dziesiątki nagich, koszmarnie białych rąk. I nagle szepnął grobowym szeptem: „*Sonne!*” i wraz z wybuchem orkiestry buchnął ogromnym szlochem: „*Słońce! Słońce!*” Przez widownię przebiegł widomy dreszcz, który ogarnął i moje ciało. Po chwili muzyka przycichła i statyści zamarli w nieco teatralnym zachwyceniu na samym środku podwórza. Wreszcie wystąpiła śpiewaczka z arią, a po jej dośpiewaniu poruszył się niespokojnie pod murem dozorca z kluczami. Kłęb ciał zwinął się jak nadeptany robak i odprowadzony barytonem dozorca wsunął się w drzwi piwnicy i zapadł w podziemie.

Kobieta patrzyła na scenę rozszerzonymi oczyma. Pochyliła się do przodu, wpijała się palcami w poręcz fotela. Złapawszy moje uważne spojrzenie uśmiechnęła się bezradnie.

— *Bist du vielleicht böse?* — zapytała lekliwym szeptem.

Piersi jej uniosły się w westchnieniu. Wydatny dekolt odsłaniał między nimi biały, głęboki rowek.

— *Aber wo! Warum soll ich denn?* — odrzekłem przesuając oczami po jej ciasno opiętym brzuchu.

Kurtyna opuszczała się powoli, oficerowie, żołnierze, urzędnicy alianccy, panie z towarzystwa, studenci i dziewczęta nagradzali burzliwymi oklaskami Fidelia, więźniów i dozorcę. Dyrygent kłaniał się nisko, odgarniając z czoła długie włosy. Kurtyna znowu poszła do góry. Kobieta patrzyła na moją zieloną esmańską kurtkę z rękawami na wyrost, którą dostałem na wychodnym z obozu, oddawszy pasiaki, koszulę z pokrzywy i kalesony. Usta jej poruszały się, ale nie dosłyszałem słów. Rzekła wyraźniej: — *Bist du böse?*

— *Nee, warum soll ich denn?* — odrzekłem z uśmiechem. Położyłem dłoń na jej biodrze, przesunąłem ją aż do pachwiny i wpilem palce w jej ciało z taką siłą, że kobieta wyprężyła się cała, wparła się karkiem w poręcz fotela, a w jej ściągniętych kurczowo wargach ukazały się szkliste, perłowe zęby, mocno zaciśnięte z bólu.

Podróż pulmanem

Nauczyciel wychylił głowę przez okno pulmanu. Pociąg zatarkotał na złączeniach szyn i skręcił na inny tor, między towarowe wagony z drzewem, maszynami i węglem. Przed semaforem zaczął hamować i dawać znaki syreną.

— Dojeżdżamy — rzekł nauczyciel.

— Tak — odpowiedziałem.

— Trzeba pójść do dzieci — rzekł nauczyciel. Spuścił nogi z koi, przetaił oczy i przeciągnął się. — Od granicy pan ciągle leży. Nie nudno leżeć?

— Nie nudno leżeć — odpowiedziałem.

— Pewnie zostawimy dzieci na punkcie. Niech czekają na rodziców — rzekł nauczyciel. — Pociąg pójdzie dalej pusty. Nie będzie tej mordęgi.

— Repatriacja była przyjemna — powiedziałem schodząc z posłania.

— Bardzo — rzekł nauczyciel.

Wyszedł z przedziału i zatrzasnął drzwi. Pociąg jechał coraz wolniej. Przeszedł znowu na inny tor, zagwizdał i zatrzymał się pod semaforem. Na sąsiednim torze stały towarówki nabite ludźmi, bydłem i sprzętami i umajone zwiędłą zielenią. Przez otwarte drzwi krowy wysuwały chude pyski, kościste konie stały w głębi wagonu. W wagonach dymiały żelazne pie-

cyki. Kobiety w szerokich spódnicach krzątały się koło garnków. Paru mężczyzn myło się przed drzwiami, polewając ręce wodą nabraną do ust. Kury apatycznie laziły pod kolana wagonu i rozgrzebywały gnój. Bosonoga dziewczyna niosła narecze siana dla krów. Długie warkoczki uderzały ją po plecach. Wiatr przywiewał od towarówek zwierzęcy i ludzki smród.

Nauczyciel wszedł do przedziału. Wyjrzał przez okno i położył mi rękę na ramieniu.

— No i? — zapytałem.

— Osiedlamy się — rzekł nauczyciel.

— Tak — odpowiedziałem.

Nauczyciel zagwizdał przez zęby i wlażł na posłanie. Umościł się wygodnie i otulił szczelnie kocem.

— Byłem tam między nimi — powiedział i westchnął. — Ech, Boże, Boże.

— Tak — odpowiedziałem.

— Jadą już całe dwa miesiące. Tu stoją cztery dni. I nie wiadomo... — rzekł nauczyciel. Odwrócił się twarzą do ściany.

— Tak — odpowiedziałem.

Pociąg zahaczał i ruszył. Koła zaterkotały na złączeniach. Pociąg przeszedł obok cystern, platform i pustych wagonów i wjechał po głównym torze na peron.

Peron wznosił się nad ulicą miasteczka i był zatłoczony ludźmi. Na schodach siedzieli przy tłumokach podróżni. Mieli na sobie zmięte ubrania i byli zmęczeni. Koło bariery stała orkiestra kolejarzy w czarnych mundurach. Dyrygent dał znak pałeczką i orkiestra rozpoczęła hymn.

— Ech, Boże — rzekł nauczyciel nie odwracając się od ściany.

Dziewczynki ze szkoły podeszły do pociągu i podawały do okien bukiety goździków. Białe ubrane panie w czepkach roznosiły wzdłuż wagonu gorące kakao w fajansowych kubkach oraz świeże bułeczki z masłem. Gruźlicze dzieci, przywiezione pulmanem, tłoczyły się w oknach, śmiały się do orkiestry i klaskały w dłonie.

— No tak — powiedziałem i odszedłem od okna. Rozciągnąłem się na posłaniu i podłożywszy ręce pod głowę zacząłem patrzeć bezmyślnie w sufit.

Pokój

Mieszkam w pokoju, w którym są dwa wypalone okna. Jedno z nich zaopatrzone jest w solidne, chociaż nieco zardzewiałe kraty. Na parapecie drugiego stoi gąsior pełen wiśniowej nalewki i leży zmiętoszona robótka ręczna.

Wśród mebli, które ustawiono na gnijącej podłodze zaraz po wyzwoleniu miasta, najcenniejszym sprzętem jest szafa, ponieważ na górnej półce schowane są: puszka amerykańskich sardynek, dwa blaszane pudła z biszkoptami i gumowy oficerski płaszcz, kupiony w pewnym D.P.Campie za osiem pudełek papierosów Camel. Na środkowej półce znajduje się maszyna do pisania typu Continental, która kosztowała trzydzieści dolarów jak obszył. Prawdopodobnie najwięcej zarobił na niej giełdciarz spod hotelu, o poufałym wzięciu warszawskiego rodaka. Na dolnej półce leżą cztery pary skarpetek i pół kilo pomidorów w torebce.

Po suficie lażą pająki.

Solidnego tapczana, przytąszczonego przez zapobiegliwą rodzinę, nie cierpię, bo — podobnie jak obozowa buksa — roi się od pcheł i pluskiew. Kiedy wieczorem zapowiada się noc bez deszczu, biorę poduszkę i dwa kanadyjskie koce włochate, własność pewnego blokowego z obozu Allach, i idę spać do publicznego ogrodu, pełnego kochanków i pijanych milicjantów, którzy strzelają z pepesz do księżyca.

Za dnia zaś siedzę przy okrągłym mahoniowym stoliku, uzyskanym z mieszkania zabitego Niemca, i dusząc się od upału piszę aż do zmroku. Jednocześnie drapię nieustępliwie ciało, które pali jak przypiekane węglem.

Przy rozżarzonym żelaznym piecyku krząta się dziewczyna w czarnej sukience i śpiewa. Jej drobna, różowa twarz ginie w ramie pretensjonalnie upiętych włosów.

Dziewczyna sypia na łóżku w drugim końcu pokoju. Co dzień gotuje mi obiad i postawiwszy na stole chleb, pomidory, zupę i kartofle, wynosi chyłkiem pełen talerz zupy za drzwi i biegnie z nim po schodach do pewnego młodego bezrobotnego, który nie może znaleźć odpowiednio wygodnej pracy.

Ponieważ ona żyje z nim, a nie ze mną.

Lato w miasteczku

Wojtkowi Żukrowskiemu

Wysoko nad gontowymi dachami miasteczka stał na wzgórzu wśród lip ogromny kościół z czerwonej cegły. Kamienne schody pięły się stromo od podnóża porosłej bujną trawą góry, na której stokach żarłocznie pasły się kozy, aż do kutej w żelazie bramy kościelnej, która, otwarta na oścież, wiodła w mroczną otchłań kościoła, przesiąkniętego wilgotnym zapachem średniowiecznych murów. Kościół ozdobiony był dwiema spiczastymi wieżami okrytymi szarą dachówką. Na czubku lewej wieży płonął w słońcu wysmukły, złoty krzyż, na prawej, na pamiątkę zaparcia się Piotra, budowniczo wieścił na długim pręcie koguta z czarnej blachy, obracającego się za wiatrem.

Wąska uliczka szła łagodnie po zboczu wzniesienia i omijając szerokim łukiem kościół podchodziła do miejskiego placu, na którym rozłożył się wędrowny czteromasztowy cyrk. Zainstalowany na szczycie namiotu cyrkowego megafon rozbrzmiewał swobodną melodią piosenki miłosnej, w jej rytm zawrotnie kręciła się barwna karuzela i kołysały się huśtawki. Jaskrawy tłum krążył hałaśliwie między budami, gdzie w klatkach wystawiono na pokaz egzotyczne zwierzęta: wielbłąda, lamę i szakala, a roześmiane dziewczęta tłoczyły się niecierpliwie wokół katarzyniarza z papugą, która dziobem wycią-

gała ze skrzynki losy szczęścia i niedoli. Ciepły wiatr owiewał im twarze i falował płótnem barwnych parasoli, ocieniających stragany z kwiatami i stoliki do gry w trzy karty. Placyk otoczony był z trzech stron ruinami spalonych domów.

Z czwartej strony placu, przytulona do surowych murów kościoła, stała plebania. Był to piętrowy domek o kolorze dojrzewającej maliny, nakryty z lekka omszałym, fioletowym dachem. Na wysokości pierwszego piętra dom otoczony był galeryjką o przedziwnie delikatnej, chciałoby się rzec — mauretańskiej architekturze. Okna plebanii zasłonięte były zielonymi żaluzjami od słońca, które rozświetlało dach i ściany domu, przeświecało na wylot przez gałęzie płaczącej wierzby przed gankiem i zalewało blaskiem kwitnący przed plebanią ogródek, świeżo ogrodzony sztchetami.

Między krzewami przejrzałych malin i porzeczek spacerował w ogródku po ścieżce młody, rumiany ksiądz w zapiętej po szyję sutannie. Młody ksiądz czytał uważnie księgę w skórzanym oprawie, trzymając ją tuż przed oczyma i ruszając z lekka wargami, i zupełnie nie zwracał uwagi ani na gwar i śmiechy tłumu błędzącego wśród bud jarmarcznych, ani na oklaski i okrzyki zachwytu, którymi darzono na placyku produkującego się dla reklamy cyrku linoskoczka w czarnym trykocie, ani też na ochryplą piosenkę megafonu. Czasami tylko podnosił znad książki zmęczone oczy i splatając na brzuchu gładkie, o złotawym odcieniu dłonie, prężnie prostował się i zwracał rumianą, nieco puciołowatą twarz, okraszoną dobrotliwym półuśmiechem, ku galeryjkom na pierwszym piętrze, przedziwnie delikatnym, chciałoby się rzec — mauretańskim w swej architekturze.

Wzdłuż zasłoniętych zielonymi żaluzjami okien pierwszego piętra, pod lekko rzuconym dachem delikatnych, mauretańskich galeryjek, obciążając gruby, biały sznur, wisiały półkołem przejrzyste i powiewne, różnobarwne — seledynowe, karminowe, niebieskie i czarne części damskiej bielizny: koszule, staniczki, pyjamy i pończoszki — i, jakby ktoś w nich przebierał dla zabawy, kołysały się łagodnie na sznurze, potrącane ciepłym wiatrem.

Dziewczyna ze spalonego domu

Przechyliłem się ciekawie przez barierę mostu, mocno obejmując palcami chłodne żelazo poręczy, aby nie ugniatało piersi, i na chwilę przymknąłem powieki. Powietrze pachniało jeszcze wciąż letnim deszczem, ale już poczynało falować od słońca, a z rozgrzanych kamieni chodnika podnosiła się ciepła jak oddech para i ocierała się o skórę nóg. Od rzeki szły rześkie, jakby bukowe powiewy, nasilały się i słabły, migotały nieledwie jak łamiące się fale, czasem prześlizgiwała się między nimi, jak błysk na wodzie, winna woń butwiejących liści. Co prawda, ściągałem bojaźliwie nozdrza, gdyż po asfalcie ulicy ciągnęły z loskotem ciężarówki wydzielając kliwy fetor spalin, który mieszał się z zapachem wilgotnego kurzu, przesiąkał bagiennymi wyziewami z rynsztoków i zagłuszał zupełnie podmuchy rzeczno-wiatru.

Wypalony dom, czerwone, podbrązowione cegły, jakby zgniłe od góry, pokryte liszczami tynku i sinymi zaciekami; w pustym, do szczytu wyjedzonym przez ogień wnętrzu — cienkie piszczele kominów; nielogiczne otwory w murze na niepotrzebne drzwi i okna — wszystko oplecione żarłocznym bluszczem, który wgryzał się w ściany i pełzał po gzymsach; siatka odgradzająca dom od ulicy — zardzewiała i postrzępiona; przy domu dychawiczna, blada topola, srebrna od

deszczu i przełamana przez pocisk — oglądane znad arkad mostu — leżały drobne i kruche, nieważne jak dziecięce zabawki.

Za murami rozpościerało się rozległe pole zarosłe bujną, puszystą trawą, wyblakłą jak stare obicie zielonej kanapy, która stała kiedyś w wypalonym domu; wśród trawy mieniły się tęczone odpryski rozbitych szyb. Gdzieniedzie rudziały płyty świeżego gruzu, roślinność nie zdążyła jeszcze pochłoniąć całkowicie niedawnego usypiska. Opasywała je półkolem ulica o wykrzywionych latarniach, wykarczowana z domów i nie uczęszczana przez przechodniów, a na stoku skarpy, ociążałe i rozparte w ziemi, rosły fantastycznie obfite, pieniaące się liśćmi drzewa; trawa pięła się drapieżnie po zboczu i klęła ostrą zielenią wzrok; wśród drzew, zasłonięte krzewami, stały czołgi pomalowane na kolor zwiędłych liści i bielily się modele myśliwskich samolotów. Pod skarpą na żółciutkim piaseczku wystawiono na widok publiczny broń artyleryjską rozmaitego kalibru. Wzdłuż mostu turkotały po kocich łbach chłopskie biedki naładowane ceglami i wapnem, nad domem zaś, nad polem, skarpą i biedkami samotnie toczyły się po niebie skłębione chmury o liliowych i różanych brzuchach, rozkwitały i wiodły na wietrze jak przyśpieszone kwiaty.

Rozpamiętywałem znad arkad mostu niedowierzająco ten krajobraz i mimo woli prawie oczekiwałem, że gdy otworzę powieki, trawa zarastająca usypisko, żelazna krata powleczona minią, czołgi, samoloty i armaty wszelkiego kalibru, wystawione na pokaz, owe biedki, apatyczne konie, woźnice, ich cegła i wapno — rozwieją się w powietrzu, a na ich miejsce wrócą łamliwe, gęste krzewy, napelnione szelestem liści i świegotem ptaków, zazielenią się wyschłe drzewa, wypalony dom zapełni się ludźmi i przymykając spaczone, wiecznie zacinające się drzwi, wyjdzie z nie istniejącego korytarza dziewczyna w granatowej narzutce i podniesie ku niebu bladą, skupioną twarz. Dziewczyna przechodziła ścieżkami obok żywopłotu, przemykała się między krzewami zręcznie jak zwinnie zwierzę; wieczorami, kiedy niebo było wyiskrzzone i śliskie jak lód, kładło się na jej postać światło księżyca lub ogarniał ją chwiejny cień topoli, towarzyszył jej duszny zapach maciejki lub surowa, piwniczna woń wiosennej ziemi albo zeschłe

liście szeleściły jej pod nogami, albo szklisnąć chrzęścił drobny lodek; wychodziła zza rogu ulicy i — przykucnięci pod filarem mostu, siorbiąc łapczywie zbyt gorący płyn, zjadaliśmy na rzeźbionym kamieniu kartoflaną albo barszcz, albo rzadką kaszę, przeznaczoną dla mnie na kolację; na iluż drózkach, ulicach, w iluż wnętrzach trwała postać tej dziewczyny, ileż razy czułem chłód jej krwistych warg, bliskie ciepło jej ciała; ileż razy wpatrywałem się w mroku w jej śniadą, boleśnie przejętą rytmem ciała twarz; miłość chłopięca i zazdrość kobieca; czułość i zaciętość; rozłąki i powroty; dziecięcość i dojrzałość; ulice, trotuary, drzwi domów, ludzie, obrazy nieba, parki szumiące cieniem, pełne jej białych rąk; zabawy ludowe o barwach perkaliku, deszcze, słońca, drzewa i powietrze — napełnione są jej obrazami, trwalszymi pod zamkniętą powieką aniżeli zamaskowane czołgi wśród zieleni, bielone samoloty i różnokalibrowe działa, na żółciutkim piaseczku wystawione gapiom na pokaz.

Otworzyłem oczy pełne minionego krajobrazu i, włócząc nogę za nogą, ciężko zeszedłem po kamiennych schodkach wiaduktu, śmierdzących uryną i błotem, aż na chodnik ulicy. Popatrzyłem na półnagich robotników, którzy w bocznej uliczce wybierali z gruzów cegły i spuszczały je po drewnianej rynnie, popatrzyłem na fury z cegłą, ciągnięte przez umęczone konie, objąłem wzrokiem trawiaste pole, wyschłe drzewa, skarpe i topole na skarpie — krajobraz, do którego niegdyś byłem przywiązany — wreszcie, brużdżąc głęboko brwi, energicznym krokiem ruszyłem do śródmieścia. Kiedy przechodziłem koło wypalonego domu, na którym plenił się bluszcz, powiał od pola wiatr i poczułem w nozdrzach, jak żywą, wydobywającą się z głębi fundamentów, z zasypanych gruzem piwnic, słodkawą smugę zapaszku gnijącego ciała.

Jednakże wąż mnie omylił, gdyż, jak mnie przypadkowo poinformowano, dziewczyna ta została na innej ulicy i w innym domu zasypana gruzem, w pół roku zaś po jej śmierci ekshumowali ją krewni i *lege artis* pochowali na tanim podmiejskim cmentarzu.

Zaliczka

Człowiek ten był mały i nieco przesadnie odżywiony. Miał cienki, śpiewny, prawie kobiecy głos, a kiedy uśmiechał się, na jego pełnej i gładkiej jak u oseska twarzy pojawiały się drobne kropelki potu. Człowiek ten prześliznął się po posadzce korytarza i, wskazawszy mi pulchną dłońią drzwi do gabinetu, poprosił mimiką policzków i ust oraz płynnym przegięciem ciała, abym zechciał wejść i zaczekać na niego. Ledwie zdążyłem umieścić się na obitym skórą krześle i przejechać parę razy podeszwą sandału po włochatym dywanie, jako też rozejrzeć się, czy nie zawieszono nowego obrazu między oknami na jedynej ścianie pozbawionej kilimu, kiedy człowiek ten wsunął się cichutko do gabinetu, przymknął dyskretnie drzwi i z wprawą, nabytą, jak złośliwie pomyślałem, przez uporczywe ćwiczenie — zasiadł za mahoniowym biurkiem na dyrektorskim fotelu.

— Nie, nie, nie, nie! — wykrzyknął po dłuższej chwili z doskonałą, aczkolwiek może nazbyt afektowaną dykcją.

Zdjąłem teczkę z kolan, wstałem, wyprostowałem się w całej swej wysokości, ukloniłem się sztywno i patrząc cały czas na sufit wyszedłem na palcach z gabinetu.

— Bardzo mnie to cieszy, że mimo przeszkody idzie pan w przyszłość z podniesionym czołem! — rzekł uśmiechając

się ten człowiek, który tuż za mną wypłynął z pokoju, przesliznął się zręcznie po korytarzu i zniknął w przeciwległej sali, zastawionej ciasno sosnowymi biurkami i krzesłami i pełnej milczących, skupionych urzędników.

Ten człowiek powinien był wydać mi się antypatycznym — pomyślałem gładząc odruchowo żelazną poręcz schodów. A jednak wygląda bardzo przyjemnie. Widocznie dlatego, myślałem schodząc coraz niżej, że wbrew zwyczajowi ludzi niskich nie zadiera on głowy do góry i nie stara się unoszeniem pięt przydać sobie znaczenia wobec ludzi wysokich.

Dopiero zeszedłszy po kamiennych schodach dwa piętra w dół, nagle uświadomiłem sobie, że przecież ja jestem o wiele niższy od niego.

Upalne popołudnie

Józefowi Mortonowi

Na nagim niebie słońce leżało martwo jak wysuszona kość. Rozżarzone powietrze stało słupem nad ziemią. Na jezdni topił się asfalt i pachniał prażoną smołą. Jeździły po nim bezszelestnie ministerialne limuzyny. W ślad za limuzynami podnosił się mialki kurz i opadał na liście jak srebrna rdza.

Po lizaju wydeptanej ziemi biegały obdarte dzieci, kopały piłkę ze szmat, pokrzykiwały ochryple i wypluwały pył z gardła. Twarze ich były opuchłe i nabiegły z wysiłku krwią. W bramce między postrzępioną pociskiem topolą a stosem ubrań stał rozkraczony chłopiec opierając dłonie o uda. Bramkarz miał podrapane kolana, ale krew już przyschła na skórze.

Kiedy, idąc od ulicy po zwiędłej trawie, zbliżyłem się do niego, gra właśnie się skończyła. Kłócąc się hałaśliwie i przerzucając szmaciankę z rąk do rąk, chłopcy zeszli w cień. Bramkarz natarł śliną rany na kolanach i, podniósłszy ubranie z ziemi, poszedł za innymi.

— O, jaka bezwstydną dziewczyna — przystanąwszy koło mnie, rzekł, jakby urażony, wskazując brodą w stronę wyschłego żywopłotu, który rósł pod ruinami. Dzikie wino pięło się po ścianach wypalonych domów, oplatało wąsami kamienne kariatydy i pleniło się na resztkach balkonów i galeryjek. W cieniu drzew, na wilgotnym trawniku, roztasowali się ro-

dzinami ludzie. Mężczyźni leżeli półnaczy na kocach, oddychali ciężko, byli bladzi i rozmiękli jak gotowane ryby. Ich kobiety spały twarzą w trawie — obok zmiętych gazet, papierów po chlebie i skorup jajek. Inni mężczyźni, zdjąwszy ze siebie marynarki, grali w zamkniętych kręgach w karty i pilnowali przynależnych im dzieci, które igrały różową pileczką i uganiały się ze śmiechem pomiędzy rodzicami.

Za kręgami zaś rodzin, w samym środku słońca, wprost na wysuszonej ziemi, pod żywoplotem, leżała bezwładnie, jak przywalona słupem, samotna dziewczyna w kwiecistej sukience, pod którą nie było bielizny. Wystawiła chciwie tłustą, spoconą twarz do słońca, podciągnęła kolana i rozchyliła zuchwale i wyzywająco rozlane białe uda.

— W rzeczy samej, co za bezwstydną dziewczyna — odpowiedziałem przyjaźnie kiwnąwszy głową i, położywszy chłopcu rękę na ramieniu, zacząłem patrzeć na nią zachłannie — tak samo jak on.

Pod Bohaterskim Partyzantem

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

W ogródku rozrywkowym „Pod Bohaterskim Partyzantem”, pomiędzy wkopanymi w ziemię stołami i ławami z surowych desek, rosły wysmukłe, chropawe topole. Postrzępione ich kopyły, delikatne jak ptasie pióra na tle zmierzchającego nieba, nabierały przezyczystej czerni. Między czubami drzew kłębiaste obłoki płynęły po niebie wolno — niczym kry po leniwej wodzie.

W kącie ogródka rozrywkowego przybudowana była do ściany sąsiedniej kamienicy drewniana buda, w której mieścił się bufet. Panienska za ładą miała kunsztownie upięte włosy, spłoszoną twarz, skromnie ozdobiony medalionikiem dekolt oraz grube dłonie i poogryzane paznokcie. Kelner miał różową łysinę, która ciemniała wraz z niebem, ołówek za uchem i z gracją balansował wśród stolików, ław, ludzi i topól. Za kamienną balustradą przyglądały się ogródkowi dziewczęta, które nie miały pieniędzy na bilet wstępu. Ulicą wracała z pastwiska krowa prowadzona na postronku, kłapała różgłośnie kopytami o bruk i kołysała ciężkim wymieniem.

— Ależ mówię ci, że te kobiety są na pewno lesbijkami — powtórzyła z uporem moja żona. Paląc papierosa jednego za drugim, przyglądała się przez zmrużone oczy tańczącym pa-

rom. Nje tańczyłem z nią prawie nigdy, gdyż była tęższa i wyższa ode mnie.

— Lesbijki w prowincjonalnym mieście? To bardzo wzruszające — odrzekłem z uśmiechem. — Wypijmy butelkę wina na ich cześć.

W zielonej muszli z dykty, od której niosło stęchłą wilgocią, rozdżiani do koszul muzykanci wykonywali sentymentalne tango. Cienie muszli i wieczoru zacierały ich postacie, poblask zachodni, odbity od bielonej ściany teatru przytykającego do ogródka, przecinał w pół twarz akordeonisty, który stał na krawędzi podium i, przebijając palcami po klawiszach, przechylał głowę ciekawie, jakby usiłował pochwycić szum ludzki. Jego wylupiaste oczy były — rzecz oczywista — ślepe.

U nóg ślepego akordeonisty kłębił się na dębowym parkiecie tłum z miasteczka, barwny jak wytrząsany worek z gałgankami. Z wnętrza jego wynurzały się poszczególne pary, zataczały się na skraju parkietu i znikwały w gąszczu. Zdemobilizowany oficer w czarnym berecie obejmował dłonią małą kobietę tuż pod karkiem i uginał nogi w sztywnych saperkach, które sięgały mu do pół łydki. Krótko ostrzyżony chłopiec w sportowych spodniach odsuwał na odległość ramienia starszą od siebie partnerkę, która usiłowała przytulić się do niego; drep-tali bokiem, drobiąc w swingu uważnie stopami.

Ale najpiękniej tańczyły dwie lesbijki. Kobieta przebrana za kobietę miała na sobie suknię w czerwone serca i zielone liście klonu oraz purpurowe sandały, jasne włosy spadały jej gładko na ramiona. Na piersiach miała wpiętą różę, oczy jej były lekko podkrążone. W ramionach kobiety przebranej za mężczyznę gięła się jak kwiat od podmuchu, przejmowała ciałem każdy ruch swego mężczyzny, podchwytywała każde drgnienie jego dłoni, każdy wariant obrotu, ocierała się, szczęśliwa, biodrem o jego biodro, jej drobniutkie stopy ślizgały się po parkiecie tuż przy czarnych pantoflach kobiety przebranej za mężczyznę. Patrzyła jej w oczy z niewysłowionym oddaniem, krwiste jej usta rozchyłały się lubieżnie, ukazując drobne, ostre, drapieżne zęby.

Kobieta przebrana za mężczyznę miała na sobie luźną marynarkę ozdobioną muszką w kropki i białym goździkiem w klapie. Szerokie marynarskie spodnie nie mogły ukryć przed

okiem widza, że biodra jej były rozrośnięte, dobre do rodzenia. Małe pantofelki o wąskich noskach zdradzały, że związana z rytmem noga nie należy do mężczyzny. Mężczyzna ów miał jasne, falujące włosy, ucięte nad karkiem i twarz delikatną, o subtelnie zarysowanych wargach. Prowadził swoją partnerkę wśród tłumu dłonią pewną i ostrożnie, umiał wśliznąć się w każdą lukę, tańczył tak swobodnie, jakby na parkiecie nie było nikogo więcej. Patrzył w oczy swojej kobiecie z po-błażliwym uśmiechem, a kiedy taniec się skończył, kobieta przycisnęła jego rękę gorąco do piersi. Odeszły z parkietu przytulone do siebie.

Tymczasem w ogródku ściemniło się zupełnie. Pomiędzy drzewami kołysały się na wietrze światła jak złote kule. Czarne cienie drzew bezszelestnie przesuwaly się po ziemi. Liście topól drżały i migotały prześwietlonym grzbietem, wiatr odchyłał je, zanurzał w cień i pokazywał ich czarne podbrzusza. Niebo było sine, prawie granatowe, woń potu ludzkiego mieszała się z zapachem lip, które rosły w parku po drugiej stronie ulicy.

W muszli muzycznej rozbłysły światła. Na parkiecie było jeszcze tłoczniej, lampa rzucała smugę światła na skraj desek. Tańczący tłum wynurzał się z mroku, przepływał przez smugę i nikał w cieniu. Na czele tłumu jak na grzbiecie fali przesunęły się przez smugę dwie lesbijki. Kobieta w stroju mężczyzny nagle przerwała taniec, przeprosiła z zakłopotanym uśmiechem swoją towarzyszkę i odeszła w głąb ogrodu pod ocienioną topolę.

Nie wierzyliśmy własnym oczom. Gdy zaś lesbijka weszła w krąg światła dopinając charakterystycznym męskim ruchem rozporek, przekonaaliśmy się ostatecznie, że to był mężczyzna.

Dziennik podróży

...faszysto, wrogu mój śmiertelny

Adam Ważyk

Opuściwszy renesansową katedrę, w której nad głównym ołtarzem, odsuniętym dla wygody turystów od ściany, między dwoma zadymionymi oknami, ukryty w cieniu, wisiał tuż pod sklepieniem tryptyk Tycjana, zadymiony jeszcze gorzej niż okna, przeszliśmy leniwym krokiem do archiwum miejskiego, mieszczącego się obok w ratuszu, skąd po obejrzeniu dziesiątków dokumentów arabskich, tureckich, łacińskich i słowiańskich, opatrzonych w ogromne pieczęcie z laku i kolorowe inicjały, a nawet rysunki, skierowaliśmy się bez pośpiechu wzdłuż głównej ulicy starego miasteczka, zaludnionej pomniczkami i gwarnym tłumem kuracjuszy, korzystających ze śródziemnomorskiej jesieni, podobnej do naszego lata. Ulica była wyłożona płytami kamiennymi zbieleiałymi od deszczu i słońca i pięła się od barbakanu portowego, wysuniętego w morze i chroniącego dojścia do mola, aż do zbudowanej nieco na zboczu bramy miejskiej. Brama ta starą, otoczoną grubym murem średniowiecznym i ciasno zabudowaną dom przy domu dzielnicę miasta o uliczkach i zaułkach tak wąziutkich, że można było rozłożywszy ramiona dotknąć ścian przeciwległych kamienic, dzielnicę pachnącą zupą, mokrą bielizną, która chwiała się na sznurach nad uliczkami, pełną dzikich kotów i nieufnych, brudnych dzieci — oddzielała

od dzielnicy nowej, zabudowanej wzdłuż asfaltowego bulwaru pensjonatami i hotelami, ukrytymi wśród rozłożystych palm, drzew pomarańczowych, mirtów, cyprysów i pinii, i pełnej usługowych kelnerów, lekkich dziewcząt i czyścibutów. Obie dzielnice rozciągały się na stoku wapiennego, porośłego z rzadka agawami i cyprysami wzgórza, na którego szczycie białe groźne forty wojenne Ilirii z epoki napoleońskiej, poniżej zaś szarzały okrągłe kopuły osadzonych na murach miasta bunkrów niemieckich z epoki hitlerowskiej Kroacji.

Ponieważ do obiadu było jeszcze trochę czasu, szliśmy noga za nogą i po drodze zatrzymywaliśmy się przy sklepach złotniczych, pełnych subtelných wyrobów ludowych z dętego srebra, albo też oglądaliśmy się smakowicie za rosłymi dziewczętami w czarnych sukniach do kostek, z żółtą frędzlą na biuście, które, kołysząc się jak łodzie, spacerowały po jezdni, dumnie zajęte tylko sobą. Były to kobiety z okolicznych wsi, najpiękniejsze kobiety Południa, produkt współzycia chłopek w turystami błękitnej krwi. Tak przynajmniej zapewniał nas miejscowy przewodnik, przydzielony nam przez zarząd miejski. Trzeba przyznać, że w długiej i urozmaiconej naszej podróży po sześciu republikach nigdzie nie zdarzyło się nam widzieć tak pięknych dziewcząt; prawda, że niektóre z nich były lekko zeszpecone syfilisem.

Wreszcie dobrnęliśmy do kamiennej ławki i usiedliśmy na rozgrzanym piaskowcu, podziwiając otwarte morze, seledynowe i szmaragdowe, nieco srebrne od wiatru i łamiące się z trzaskiem o skały u naszych nóg. Za naszymi plecami zadzwonił wśród palm śmiesznie kolorowy, miniaturowy tramwaj i zaczął drapać się pod górę, na sąsiedniej ławce siedziała w letniej, kwiecistej sukience opalona kobieta i trzymała między kolanami dziecko bawiące się naszymi plecami z czerwonych koralii, które zwisały z jej szyi, od morza szły prawie parne, pachnące wodorostami powiewy, na czystym niebie krążyły mewy i opadały na falę. Było ciepło i cicho, dobry czas dla dojrzewania pomarańcz.

— Nie piszą o nas w gazecie? — zapytał Członek Delegacji — W Lubljanie poświęcili nam cały artykuł.

— Chodźmyż już na obiad, znowu spóźnimy się — powiedział inny Członek Delegacji.

— Przestań pan o tym jedzeniu — rzekł poprzedni. Odwrócił się na dzwonek tramwaju, który zjeżdżał z góry. Powiedział: — Prymityw jak u Celnika Rousseau.

Zacząłem przeglądać gazetę, rzucając okiem na tytuły skromniejszych artykułików i wzmianek. Niestety, na pierwszych stronach pisma o delegacji nie było ani słowa. Na piątej stronie gazety — była to „Borba”, 11. 11. 47 — zauważyłem trzy reprodukcje zdjęć z jakiegoś czasopisma angielskiego, które mnie na chwilę zajęły. Pierwsza przedstawia nagie, kamieniste pole. Na polu, twarzą w twarz do szeregu żołnierzy w angielskich mundurach, spoczywających z bronią u nogi bokiem do widza, tak że aparat obejmował wyraźnie tylko białe mankiety i pas pierwszego żołnierza oraz wielką torbę z amunicją do tommyguna, zawieszoną na jego piersiach — stał szereg ludzi, wśród których wyróżniłem sylwetkę kobiety i mężczyznę w pasiastych spodniach.

Druga fotografia pokazywała „detal” z pierwszej, mężczyznę i kobietę. Mężczyzna był bardzo smukły, całkiem młody, prawie o głowę wyższy od kobiety. Miał na sobie pyjamę, na którą wdział marynarkę. Kolnierzyk pyjamy był rozpięty, jak u sportowej koszuli. Mężczyzna był nieco łysawy, miał baczki i przystrzyżone wąsy. Stał wyprostowany, lewą dłoń zwarł mocno w pięść, można było się domyślać, że ma wąskie, zaciśnięte usta i ściągnięte brwi. Dziewczyna ubrana była w kloszowe palto i miała na głowie zawój (barwny, o ile można było sądzić ze zdjęcia), opinający jej bujne włosy, modnie spiętrzone nad czołem. Głowę nieco pochyliła na ramię, na odsłoniętej szyi czerniał maleńki krzyżyk, a może tylko kropka drukarskiej farby. Dziewczyna opierała się na lewej nodze, prawa była lekko zgięta w kolanie, jak u człowieka zmęczonego długim staniem. Usta jej były ściągnięte w nieznaczny ciup, jakby od zimna. Prawa ręka mężczyzny i lewa ręka dziewczyny odchyłały się bezwładnie od ciała, ponieważ były ze sobą związane. Dziewczyna miała dwadzieścia pięć lat i nazywała się Jeftimija Paza, mężczyzna nazwiskiem Vaskekis był nauczycielem w szkółce i nie zdążył włożyć na siebie ubrania.

Trzecia fotografia pokazywała rozkraczonego żołnierza w mundurze angielskim, schylającego się nad zwłokami ludzi. Pod zdjęciami był podpis, który wyjaśniał, że to greckie wojska

faszystowskie rozstrzeliwują podejrzanych, a żołnierz na trzecim zdjęciu przewraca, po egzekucji, obcasem ciała skazańców i dobija tych, którzy się jeszcze ruszają.

— Nie, nie ma nic o nas — powiedziałem przejrawszy gazetę do końca. — Tyle że kończę dziś dwadzieścia pięć lat. Wynika z daty. Gazeta o dzień spóźniona.

— To rzeczywiście ciekawe — rzekł ironicznie Członek Delegacji.

— Chodźmyż już na ten obiad — rzekł inny Członek Delegacji ogryzając nerwowo rude wąsiki, które, nie strzyżone od miesiąca, opadały na górną wargę.

Wstaliśmy i poszliśmy rażno do hotelu, gdzie nam podano: *hors-d'oeuvres variés* i *caviar de Cladave* do wyboru, *crème de volaille*, *dindonneau rôti*, *charlotte russe* oraz — *dingač* i „turską kafe”.

Mieszczkański wieczór

WP. Stanisławowi Dygatowi

Moją pasją są książki, zapachy i myśli, czyli nieco infantylne marzenia przedsenne o zabarwieniu erotycznym. Kiedy wieczorem otwieram na oścież oba okna, aby wpuścić do pokoju mdlącą mnie woń rozkwitłych lip, które rosną po drugiej stronie ulicy, i nie gasząc nocnej lampki kładę się do łóżka — a raczej na tapczan — na chrzęszczące i wykrochmalone prześcieradło, wtedy podsuwam pod głowę dłonie, przymykam oczy i obserwując przez cienkie, zmrużone powieki szeleszczący lot ćmy, poczynam oddawać się myślom. Przeżyłem wprawdzie niejedno podczas ubiegłej wojny i z niejaką dumą opowiadam znajomym, że widziałem pewnego dnia dwadzieścia osiem tysięcy nagich kobiet, a w ciągu roku grubo ponad milion ludzi różnej płci i wieku — idących do gazu, a czasami nawet sugeruję w zapale, iż obrazy tych zbiegowisk ludzkich natrętnie mnie prześladują, że np. słyszę jeszcze we wspomnieniu krzyk ludzki, pisk dzieci i tchórzliwe, usługne milczenie mężczyzn i że niekiedy czuję jakby naprawdę dokuczliwy zapach gnijącej krwi kobiecej zmieszanej z potem oraz mokrą, tłustą woń palących się ludzi, a jednak muszę stwierdzić, że w samotnym rozmyślaniu, zwłaszcza przedsennym, nigdy do tego materiału nie mam zwyczaju sięgać. Zwykle bywa tak, że, znużony wpatrywaniem się w trzepotliwy cień ćmy tańczą-

cej na szarym suficie, zamykam szczelnie oczy i wtedy pod powiekami od razu pojawiają się różnokolorowe, kalejdoskopowe figury geometryczne, prostokąty, nieregularne wieloboki, koła i plamy świetlne, a także linie, prążki, kłujące punkciki, ruchome pęki prostych, które unoszą się ku górze powiek, zmniejszają się lub rosną, zmieniają barwę i kształt, łączą się, przenikają, dzielą się i rozchodzą, wreszcie uciekają w tył głowy, a na ich miejsce z dołu powiek napływają nowe plamy i linie. Przyznać się zresztą muszę, że interesuję się nimi tylko mimochodem, gdyż stanowią one pomost do moich właściwych myśli.

Myślę mianowicie o kobietach. O kobietach prawdziwych i urojonych, z którymi — rzecz oczywista — doznaję niesłychanych emocji, przygód i rozkoszy. Podczas wojny, kiedy byłem o wiele młodszy, myślałem o dziewczętach w moim wieku, które wydawały mi się przedziwnie piękne i doskonałe. Nie pojmowałem wówczas, jak brzydkie są ostre kolana, chude nogi, wąskie, kanciaste biodra i spiczaste piersi. Dopiero dziś rozumiem, że pewna moja rówieśniczka, z którą przed paru laty poznałem miłość (i którą jeszcze dziś na sposób sentymentalny wspominam), wprawdzie chętna i oddana, była jednak chropowata i twarda jak dębowa kora.

Obecnie, przemógłszy onieśmielenie pierwszej młodości, sięgam wieczorami myślą po kobiety dojrzałe, doświadczone i śmiałe. Przestałem lubić w marzeniach dziewczęta, które musiałbym wtajemniczać w miłość. Wynika to w znacznej mierze zapewne stąd, że w rzeczywistości jestem bojaźliwy i skrajnie nieporadny i zawsze narażam się na kłopoty.

Myliłby się jednakże, kto by przypuszczał, że w myślach swoich zmierzam prostą drogą do obrazu kulminacyjnego. Wręcz przeciwnie: obudowuję go całym opowiadaniem, splątaną intrygą, czasami zaczerpniętą z fragmentów przeczytanych książek, których szeregi przestawiam co pewien czas na półkach. Tworzą zamknięte, ale ledwo naszkicowane historie i tylko poszczególne obrazy przemyśliwam dokładniej. Przejścia między obrazami dopowiadam sobie jednym szkicem, nieledwie zamiarem myśli. Pośpiesznie rysuję charaktery, ustaląm konflikty, nadaję sobie — stosownie do okoliczności — cechy zbrodnicze albo szlachetne, wyposażam swe ciało w ko-

nieczne dla kompozycji obrazu walory lub niedomogi, w paru filmowych skrótach zaznaczam teren akcji, dla szybkości budując ją z widzianych za dnia elementów, z przypomnianych wewnątrz, przedmiotów, postaci i wydarzeń, ale choć ciągnę opowiadanie niecierpliwie, jakbym odwracał kartki pasjonującej książki, nigdy nie mogę zdążyć na czas.

Wprawdzie uszy mam zasłonięte dłońmi, ale jednak słyszę wyraźnie, że szmer w łazience ustaje. Następnie trzaskają drzwi jedne i drugie, słychać szelest miękkich pantofli o posadzkę, szum jedwabnej pyjamy. Kiedy zaś gaśnie lampka nocna, unosi się kołdra i sprężyny tapczana chrzęszczą, otwieram w ciemności oczy i, trochę jeszcze niezadowolony, że mi przerwano myśli w momencie akcji nieomal że kulminacyjnym, odwracam się energicznie i biorę w ramiona swoją młodą żonę.



Odwiedziny

Szedłem nocą, piąty w szeregu. Brązowy płomień palonych ludzi chwiał się w środku fioletowego nieba.

W tej łagodnej ciemności miałem oczy szeroko otwarte i chociaż krew z przebitego bagnetem uda obejmowała mi ciało ciepłem, które przy każdym kroku potęgowało się aż do bólu, a z tyłu przez gęsty, skwapliwy tupot męskich nóg wy-czuwałem drobny, lękliwy krok kobiet (wśród nich szła rów-nież dziewczyna, która kiedyś należała do mnie) — to jednak nie potrafię powtórzyć z tej nocy nic prócz tego, co widziałem szeroko otwierając oczy.

Widziałem więc w tę noc, jak półnagi parujący potem czło-wiek wypadłszy na żwir rampy obozowej z bydłęcego wagonu, w którym nie było już powietrza, zachłysnął się głęboko rześ-kim, chłodnym mrokiem, zatoczył się ku innemu człowiekowi i objąwszy go kurczowo ramieniem począł wmawiać w niego nieprzytomnie: „Bracie, bracie...”

Jeszcze inny człowiek (w walce o powietrze przyduszono go w wagonie, przy szparze), leżąc w szopie na kupie dymią-cych ciał, kopnął nagle z całej siły schylonego nad nim zło-dzieja, który ściąga mu z nogi niepotrzebny już przecież umar-łemu — prawie nie używany, chromowy oficerski but.

Przez wiele dni potem widziałem, jak mężczyźni płakali

nad kilofem, łopata i przy lorze. Jak dźwigali szyny, worki z cementem, betonowe słupy na ogrodzenie, jak równali pieczolowicie ziemię, głaskali szuflami ściany rowów, wznosili baraki, wieże strażnicze i krematoria. Jak zżerały ich świerzb, flegmona, tyfus i głód. Widziałem innych, którzy kolekcjonowali brylanty, zegarki oraz złoto i skrzętnie chowali je w ziemi. Jeszcze inni ze snobizmu starali się zabić jak najwięcej ludzi i osiąść możliwie wiele kobiet.

Aha, widziałem także kobiety, które nosiły belki, pchały wozy i taczki oraz budowały tamy przy stawach. Także takie, które oddawały się za kawałek chleba. Takie, które stać było na kupno kochanka — za jedwabne koszule, za złoto i za biżuterię zrabowaną ludziom umarłym. Widziałem także dziewczynę (która kiedyś należała do mnie) pokrytą wrzodami i łysą, ale to już jest moja prywatna sprawa.

Ci wszyscy zaś, którzy z powodu flegmon, świerzbu i tyfusu, a także dlatego, że byli zbyt chudzi, szli do komory gazowej, prosili pielęgniarzy (ładujących ich na krematoryjne auta), aby patrzyli i pamiętali. I aby powiedzieli prawdę o człowieku — tym, którzy jej nie zaznali.

Właśnie spoglądam przez oplecione dzikim winem okno, za którym jest wypalony aż po niebo dom, dalej zwalisko klasycznej bramy z ocalałą amforą na kolumnie, banalne, pachnące i kwitnące drzewo lipowe oraz niebo zbiegające chmurami ku widnokręgowi ruin po drugiej stronie migotliwej rzeki.

Siedzę w cudzym pokoju wśród nie swoich książek i pisząc, że widziałem niebo, mężczyzn i kobiety, myślę uporczywie, iż tylko siebie nie mogłem zobaczyć. Pewien młody symboliczno-realistyczny poeta opowiada o mnie z kostycznym lekceważeniem, że mam obozowy kompleks.

Za chwilę odłożę pióro i tęskniąc do ludzi, których wtedy widziałem, będę się zastanawiał, dokąd dziś pójść w odwiedziny: czy do przyduszonego człowieka w oficerkach, obecnie inżyniera elektrowni miejskiej, czy też do właściciela doskonale prosperującego baru, który kiedyś szeptał mi: „Bracie, bracie...”

Innych odwiedzają ci, którzy grzebiąc w zmieszanych z ziemią, przegniłych ludzkich popiołach pilnie szukają w nich zagubionego złota.

Treść

Il mes u Augustinich

Pożegnanie z Marią	
Pożegnanie z Marią	7 ✓
Dzień na Harmenzach	36 ✓
Proszę państwa do gazu	61 ✓
Śmierć powstańca	79
Bitwa pod Grunwaldem	93

Kamienny świat

Krótką przedmowa	135	—
Kamienny świat	137	
Opowiadanie z prawdziwego życia	140	
Śmierć Schillingera	143	
Człowiek z paczką	147	
Kolacja	151	
Milczenie	155	
Spotkanie z dzieckiem	158	
Koniec wojny	161	
«Independence Day»	164	—
Opera, opera	167	
Podróż pulmanem	170	—
Pokój	172	—
Lato w miasteczku	174	—

Dziewczyna ze spalonego domu	176
Zaliczka	179 >
Upalne popołudnie	181 ~
Pod Bohaterskim Partyzantem	183 •
Dziennik podróży	186
Mieszczkański wieczór	190 ~
Odwiedziny	193

Glosariusz

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



65341

100
100
100
100
100